



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI.

Warszawa, Wielkanoc 1955 r.

Nr 14 (48)

SI CONSURREXISTIS CUM CHRISTO...

PRAWIE dwa tysiące lat temu w niedzielę, wczesnym rankiem, szły niewiasty do grobu Jezusa, aby namaścić Jego ciało. „I mówily do siebie: Któż nam odsunie kamień od drzwi grobowca? I spojrzawszy ujrzały odsunięty kamień. Był bowiem bardzo wielki.“ Gdy weszły do środka, usłyszały: „Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu, oto miejsce gdzie Go złożono“ (Mk. XVI, 3,4,6).

Świat dowiedział się, że Chrystus zmartwychwstał.

Nie zdajemy sobie sprawy z wagi tego wydarzenia.

Jeszcze tak niedawno Syn Człowieczy: prawdziwy Człowiek i Bóg prawdziwy, przyczołowany do nikczemnych bierwion, konał w męce. Jeszcze w powietrzu unosił się głos naigrawania: „Jeśli Synem Bożym, zstąp z krzyża“ (Mt. XXVII, 40). Zwisa martwe ciało Tego, któremu postuszne były wszystkie moce, który nawet śmierć zwyciężył. Czyż może być tragiczniejszy widok? Uczniowie rozproszeni. Nawet w najwytrwalszych załamała się wiara. Wydawało się, że już na zawsze dzieło Chrystusa zostało zniweczone przez śmierć. Wydawało się, że już na zawsze człowiek zabił Boga, że już na zawsze consummatum est.

A jednak Chrystus zmartwychwstał. Chrystus żyje. Nic się nie skończyło. Dopiero teraz wszystko zaczyna żyć, dopiero teraz nabiera pełnego sensu.

Zmartwychwstanie Chrystusa najdoskonalej potwierdza Jego Boskość. „Przez powstanie z martwych okazał się Synem Bożym w mocy, Jezusem Chrystusem...“ (Rzym, I, 4). Zmartwychwstanie Chrystusa ostatecznie uzupełnia dzieło Odkupienia. Zmartwychwstanie Chrystusa potwierdza i uzasadnia oczywistość wszystkich Jego cudów. Zmartwychwstanie Chrystusa zamyka to wszystko, co o Nim wlemy: jest podstawą całej naszej wiary. „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest tedy przepowiadanie nasze, daremna jest i wiara wasza“ (I. Kor. XV, 14). Dlatego Dzień Zmartwychwstania jest największym świętem w życiu całego Kościoła. Dlatego chrystianizm jest religią Zmartwychwstania.

i człowieka. W jakimś sensie jest też tym życie całej ludzkości.

Czym jest świat? — Dziełem Bożym. Czym jest człowiek? — Dziełem Bożym, które On stworzył na obraz swój i podobieństwo. Ale Bóg świat i człowieka nie tylko stworzył, ale nieustannie s t w a r z a. I świat i człowiek istnieją tylko dlatego, że w każdej chwili Bóg podtrzymuje ich istnienie i jako Najwyższa Immanencja tkwi najgłębiej we wszelkim byciu. „Podnieś kamień — a Mnie znajdziesz,

człowieka, ile Boga. Całe nasze życie — o ile jest prawdziwym życiem — jest współdziałaniem z Bogiem poprzez Łaskę i współzyciem z Bogiem poprzez Łaskę.

Chrystus żyje w nas: w nas umiera i w nas zmartwychwstaje. Jakich sens tych zmartwychwstań?

Przed dwoma tysiącami lat Chrystus zmartwychwstał abyśmy i my zmartwychwstali, aby zwyciężając swą śmierć — zwyciężyć naszą śmierć: dać nam życie wieczne.

są Jego zmartwychwstaniem. Jego zmartwychwstania są naszymi zmartwychwstaniem. Jesteśmy członkami Ciała Chrystusowego: „Bóg nas z Nim wskrzesił“: C o n r e s c i t a v i t n o s (Efez. II, 6).

Czyż może być coś bardziej porównawczego?

Jesteśmy dziećmi Bożymi. Więcej: jesteśmy wolnymi dziećmi Bożymi. Bóg nas obdarzył wolnością. Utrzymuje nas w porządku istnienia, daje nam swą Łaskę, ale nie działa za

simy stać się żywymi członkami Jego Ciała.

Tkwia w nas korzenie ograniczenia i zła. Dlatego umieramy codziennie przez nasze grzechy, dlatego umieramy codziennie przez naszą małość, nieczułość, bezmyślność, beczność. Dlatego umieramy codziennie przez b r a k m i ł o ś c i: tej miłości, która jest samym Życiem.

Jakżeż często d... nas szarość: ten zwykły, powszedni dzień. Ja-

Są elementem śmierci, gdy my wśród nich zamieramy.

Dlatego nasze zmartwychwstania i odrodzenia muszą być odrzuceniem i zwyciężaniem błędów i ograniczeń. I nie tylko grzechów. Tak często nasza niewiedza, której jesteśmy winni, lekkomyślność czy beczność wyrządzają nieporównanie więcej zła. Jeśli chcemy prawdziwie zmartwychwstać, musimy się nie tylko odradzać z naszych grzechów, musimy się też odradzać z naszej małości, z naszej nieczułości i bezmyślności, z naszej bierności wobec życia i samych siebie.

Wszystkie zmartwychwstania są zmartwychwstaniem w miłości. Nie wystarczy nie grzeszyć. Ideal chrześcijański nie jest tylko ideal negatywnym. Trzeba kochać. A miłość chrześcijańska jest nie tylko stanem woli — jest czynem. Miłość jest społeczna.

Dialog między człowiekiem a Bogiem nie odbywa się w pustce. Nie możemy zbawić samych siebie nie myśląc o reszcie świata. Nie możemy kochać Boga nie kochając naszych bliźnich. Każdego z nas Bóg zbawia oddzielnie, ale jednocześnie zbawia nas wszystkich razem — jako swe Ciało Mistyczne. Nie możemy się zbawić indywidualnie, biorąc odpowiedzialność tylko za swe własne życie.

Jeśli chcemy się zbawić musimy wziąć też na siebie odpowiedzialność za życie innych. I dopiero te dwie odpowiedzialności nadają pełną treść naszemu życiu.

Miłość nadaje społeczny sens Zmartwychwstania.

Miłość łączy nas z Chrystusem. Miłość sprawia, że nasze zmartwychwstania są zmartwychwstaniem Chrystusa, a zmartwychwstanie Chrystusa jest naszym zmartwychwstaniem.

Si consurrexistis cum Christo...

Gdy współzmartwychwstaniami z Chrystusem — odrodzimy się do prawdziwego życia.

Miłość łączy nas z naszymi braćmi. Miłość sprawia, że razem z nimi współzmartwychwstajemy. Dopiero wtedy odradzamy się prawdziwie. I dopiero wtedy jest możliwe nasze współzmartwychwstanie z Chrystusem. Bowiem miłość łączy nas wszystkich w jedno w Chrystusie i miłość łączy nas wszystkich w jedno z Chrystusem.

Tworzymy jedność. Jesteśmy jednym ciałem. Jesteśmy Kościołem. I dlatego nie możemy zmartwychwstać nie biorąc udziału w zmartwychwstaniach całego Kościoła.

Kościół jest rzeczywistością bosko-ludzką. Każdy w Nim zajmuje swoje miejsce. I w zależności od tego jest za Kościołem w spórodpo-wiedzialny. Ta odpowiedzialność wyklucza bierność. Pierwotek ludzki, jaki istnieje w Kościele, w pewnych momentach ogranicza rozwój, powoduje załamania i błędy. Za wszystkie te załamania i błędy jesteśmy współodpowiedzialni. Jesteśmy też współodpowiedzialni za rozwój Kościoła.

Ta odpowiedzialność nie może być teorią. Nie może być też tylko intencją. Musi się przejawiać czynnie: w naszej postawie, w naszej działalności — w całym naszym życiu.

Zyjemy w Historii. I tylko wtedy życie nasze jest prawdziwe, gdy bierzemy w niej pełny udział i jesteśmy za nią współodpowiedzialni. Gdy usiłujemy stanąć poza historią — stajemy poza życiem.

W historii są też zmartwychwstania. Cywilizacje gina, powstają nowe. Jedna epoka umiera, rodzi się druga. Tylko wtedy się odradzamy, gdy bierzemy pełny udział w odrodzeniu historii.

Dopiero wtedy, gdy współzmartwychwstajemy z Kościołem i z wszystkimi naszymi braćmi — zmartwychwstanie Chrystusa staje się naszym zmartwychwstaniem.



Fragment ołtarza z Warty (początek XVI w.)

zetnij drzewo — i tam Ja jestem“ — mówi starożytna agra. — Oto obecność i współdziałanie Boga w porządku istnienia i natury.

To jednak nie wystarczy. Natura została dotknięta przez Grzech. Dlatego musi zostać uzupełniona. Potrzebna jest jeszcze inna pomoc Boża: Łaska. — Oto jest obecność i współdziałanie Boże w porządku Nadnatury.

Cel swój — powrót do Ojca — człowiek spełnia poprzez rzeczywistnienie dziecięstwa Bożego, to jest tego, czym jest z samej swej istoty. A to z kolei realizuje doskonałą — zgodnie z wolą Bożą — siebie i świat.

Nie możemy tego zrobić bez pomocy Bożej. Bez tej pomocy nie możemy być nawet ludźmi. Tylko On potrafił być Doskonałym Człowiekiem. I w nas ostatecznie jest tyle

I teraz Chrystus w nas zmartwychwstaje, abyśmy zwyciężyli naszą duchową śmierć i abyśmy w Nim zmartwychwstali. W tej Łasce Zmartwychwstania uczestniczymy od chrztu. Jak mówi św. Paweł: „Przez chrzest bowiem zostaliśmy razem z Nim pogrzebani w śmierć, aby jako Chrystus zmartwychwstał przez chwałę Ojca, tak i my byśmy w nowości życia chodzili“ (Rzym, VI, 4). W życiu tym utrzymujemy się żyjąc wedle ducha chrztu świętego.

„Jam jest szcep winny, wyście latorośle, trwajcie we mnie, a je w was, gdyż beze mnie nic uczynić nie możecie. Zebyśmy mogli przynieść plon obfity, trzeba żeby Chrystus w nas mieszkał, a my w Nim“ (J. XV, 4, 5). Dlatego gdy Chrystus zmartwychwstaje, i my zmartwychwstajemy. Nasze zmartwychwstania

nas. Chce, abyśmy sami działali. Nie wiążę nas. Wyciąga do nas rękę, ale pociąga nas ku sobie tylko wtedy, gdy i my do Niego rękę wyciągamy. Odkupienie nie jest mechanizmem, który działa automatycznie. Bóg nie może nas zbawić bez naszej pomocy, wbrew naszej woli. Bóg daje nam Łaskę, ale od nas ostatecznie zależy, czy ją przyjmujemy czy odrzucimy. Od nas zależy, czy krew Chrystusa nie będzie dla nas przelana daremnie.

Współdziałaj z Nim musimy i w dziele Zmartwychwstania. Tylko pod tym warunkiem zachowa ono dla nas swój pełny sens. Musimy wciąż odradzać się w Łasce, zmartwychwstać z Chrystusem i w Chrystusie. Dlatego św. Paweł woła: „Upamiętnijcie stary kwas, abyście się stali nowym zaczynem, jako też przańi jesteście. Albowiem za Paschę naszą został ofiarowany Chrystus. Świętujmy tedy nie w starym kwasie ani też w kwasie złości i przewrotności, ale w przańkach szczerości i prawdy“ (I. Kor. V, 7, 8). Poprzez Łaskę stać się musimy „Nowym zaczynem“, „nowym człowiekiem“.

Jesteśmy członkami mistycznego Ciała Chrystusa. Jakżeż często jednak bezwiednie i niedoskonale! Dlatego, aby zmartwychwstanie Chrystusa stało się naprawdę naszym zmartwychwstaniem, musimy w pełni należeć do Chrystusa, mu-

kim ciężarem wszystko przygniata. A przecież samo życie nigdy nie jest szare: jest zawsze bogate. Szara i codzienna jest tylko martwość: martwość tych dni, których nie potrafiliśmy ożywić, w których nie potrafiliśmy żyć. Tylko my jesteśmy za nią odpowiedzialni: nasze ograniczenie, którego nie próbujemy zwyciężać, nasza bierność: jakieś metafizyczne lenistwo, nasz brak odpowiedzialności za samych siebie, za życie, za wszystko!

Nasza praca wydaje się szara i beznadziejna? — Najczęściej jest tak dlatego, że spełniamy ją mechanicznie, nie angażując samych siebie, nie wnioskując w jej sens — ot tak, aby zbyć. Praca tak spełniana, rzeczwiście jest beznadziejna i zabijająca życie.

Chcemy żyć. A przecież życie nie jest trwaniem ani poddawaniem się napływającej fali. Życie jest przetwarzaniem, zwyciężaniem, odradzaniem. Przetwarzaniem świata zwyciężaniem tego, co ogranicza i zamyka, odradzaniem siebie samego. Dlatego jeśli chcemy naprawdę żyć — musimy ciągle zmartwychwstać.

Każdy z nas jest ograniczony. Każdy błądzi. Błędy i ograniczenia są dla nas czymś nieuniknionym — dlatego same w sobie nie są złe. Swe niszące działanie rozpoczynają wtedy, gdy stają się czymś niezmiennym i nieprzewidywanym.

W dniu święta Zmartwychwstania Pańskiego najserdeczniejsze życzenia

Współpracownikom i Czytelnikom naszego pisma składa

REDAKCJA

ZAGADNIENIE „BOGACTWA” DOKTRYNA I HISTORIA⁽¹⁾

w życiu pierwszych chrześcijan

CHOĆ rozproszeni po całym obszarze Imperium, chrześcijanie stanowili jednak jedną wielką rodzinę. Wzorem dla nich była zawsze pierwsza gmina w Jerozolimie, choć oczywiście nie wszędzie jednak można było się zbierać razem, nie wszyscy mogli prowadzić jednako tryb życia. Nie znaczy to jednak, by i poglądy zasadnicze chrześcijan ulegały zmianie. Jeżeli wszyscy są równi wobec Boga, jeżeli w gminie nie może być obok siebie bogaczy i nędzarzy, to z konieczności powstawało pytanie, jak w ogóle traktować sprawę dóbr ziemskich, sprawę własności prywatnej? Czy jest ona czymś naturalnym, to jest wynikającym z prawa natury i woli Bożej, czy Bóg od początku chciał, by jedni byli bogaci a drudzy biedni, czy też nierówność majątkowa jest tylko następstwem winy człowieka?

Pytania te musiały się z konieczności nasuwać pierwszym generacjom chrześcijańskim, aczkolwiek nie należy zapominać, że najstarsza literatura chrześcijańska była głównie zainteresowana sprawami praktycznymi życia religijnego, natomiast rozważania teoretyczne wydawały się mniej ważne tym bardziej, że dość ogólnie spodziewano się rychłego końca świata. Ale nawet i później, gdy nadzieje eschatologiczne straciły już swą siłę, to jednak o teoretycznych podstawach prawa własności pisało bardzo niewiele. I to nie dlatego, by samo zagadnienie było obojętne, przeciwnie — w miarę słańnięcia owych nadziei — wydawało się ono coraz ważniejsze.

Ale należało zarazem do szeregu tych spraw, na temat których wszyscy byli zgodni, byli jednomyślni, czego nie trzeba było dowodzić, a czego podważanie byłoby zerwaniem z przekonaniem ogółu.

Z nauczania Chrystusa musieli przejąć pierwsi chrześcijanie pogląd na bogactwo. Potępił ich Chrystus niejednokrotnie, a ponieważ nie rozróżniał między bogaczami, którzy w sposób godziwy nabyli swój majątek, i bogaczami, którzy wzbogacili się w sposób nieetyczny, to wynikało z tego, że potępił bogaczy w ogóle. Za bogaczy Chrystus nie mógł uważać nikogo innego niż ludzi rażąco różniących się swym dobrobytem od ogółu słuchaczy. Musiał z tego płynąć logiczny wniosek, że Chrystus kładzie nacisk na równość ekonomiczną swych wiernych. To była zasada ogólna, choć w pierwszych generacjach chrześcijan nie trzeba jej było powtarzać i rozwijać, skoro składały się one prawie wyłącznie z biedaków, którzy w dodatku oczekiwali rychłego końca „tego świata” (I Kor. 7, 29 nn.).

Coraz częściej jednak zjawiało się pytanie, co robić z człowiekiem zamożnym, który się nawraca na chrześcijaństwo, czy ma on odstąpić swój majątek gminie, zostawiając sobie pewne minimum, czy też zachować to, co ma, i tylko pomagać bliźnim. Pierwsze z tych rozważań miało licznych zwolenników, zwłaszcza w począt-

kowej fazie istnienia chrześcijaństwa, należał do nich w II wieku apologeta Minutius Felix. Ale rozwijanie to okazywało się często w praktyce niewykonalne, pozostawało wobec tego wyjście drugie. Nie było ono zresztą zbyt odmiennie od pierwszego, bo ta sama była podstawa obydwo. Sądzono mianowicie, że dobra ziemskie Bóg stworzył jednakowo dla wszystkich, a zatem nierówność majątkowa jest następstwem grzechu. Wszyscy mają jednakowe prawo do udziału w dobrach ziemskich. Nie odwracaj się od biedaka — pisał moralista chrześcijański na początku II wieku (Didache) — ale podziel się wszystkim z bratem swoim, i nie zwij niczego swą własnością, albowiem jeśli macie wspólny udział w nieśmiertelności, tedy ileż więcej w rzeczach znikomych. To samo dosłownie powtarzał za nim nieco później inny moralista, Barnaba. To, co pochodzi od Boga, zostało nam dane dla wspólnego użytku — pisał w III wieku Cyprian. Wróg chrześcijaństwa, Lucjan z Samosaty zarzucał chrześcijanom, że gardzą jednakowo wszystkimi dobrami i uważają je za wspólną własność. Z tej ogólnej zasady wyprowadzano wniosek, że choć w praktyce nie jest możliwe, by każdy odstępował swój majątek gminie, to jednak kładziono nacisk na to, by dobra swoje uczynił wspólnymi wtedy, gdy chodzi o użycie. Innymi słowy teorię i praktykę pierwszych chrześcijan można by ująć w ten sposób: nie uznawali tytułu własności prywatnej („Nie zwij niczego swą własnością”), używanie dóbr miało być wspólne, a tylko ich administracja należała do tego, kto przed nawróceniem był właścicielem. Miała ona polegać na tym, by zachowując sobie to, co jest konieczne do utrzymania, resztą dzielić się z bliźnimi ofiarowując ją na rzecz chrześcijańskiej caritas, a więc samemu Bogu. Prawda, że i w wiekach późniejszych powoływano się na tę samą zasadę, przez swą nieokreśloność mogła ona prowadzić do usprawiedliwienia największych różnic majątkowych, pozostawienie bowiem oceny tego, co konieczne samemu zainteresowanemu mogło sprawić, że największe bogactwo uważali, iż mają tylko to, co im jest konieczne, a nie posiadają tzw. *superflua* dla oddania ich potrzebującym. Nie ulega wątpliwości, że nawet „dobrzy” chrześcijanie w średniowieczu i w czasach nowszych tak interpretowali zwykle teorię chrześcijańską.

Otóż trzeba powiedzieć, że mimo pozornego podobieństwa wyglądała ona jednak w starożytności chrześcijańskiej zupełnie inaczej niż w czasach nowszych. Zostawianie sobie tego, co konieczne w rozumieniu pierwszych chrześcijan, to zostawianie tyle, by żyć tak jak ogół. Nawet konserwatysta Klemens z Aleksandrii, piszący na przełomie II i III wieku do wiernych gminy aleksandryjskiej, w której było wielu ludzi zamożnych, stwierdzał wprawdzie, że Zbawiciel nie odrzucił bogaczy i nie zamknął przed nimi zbawienia, ale dodaje warunek, od którego jest to zależne, a mianowicie: o ile potrafią i będą chcieli poddać się przykazaniom Bożym, co precyzyjnie nieco dalej między innymi jako pełne wykorzystanie wytworzonych przez fakt posiadania możliwości. W gminie chrześcijańskiej nie mogło być bogaczy i nędzarzy. Sam Klemens pozwala bogatszym na pewien luksus, jest to zrozumiałe skoro się zważy, że pisał w Aleksandrii i że nawet nakazy etyki ewangelicznej skłonny był tłumaczyć alegorycznie, ogólny jednak pogląd, np. Tertuliana, Cypriana, Orygenesa, był znacznie surowszy

i wszystkim stawiał jednako- we wymagania.

Powiedziano wyżej, że bogactwo chrześcijanin miał właściwie tylko zarząd swego majątku, wiemy jednak, że Kościół starożytny nie patrzył obojętnie na nieetyczne zarządzanie tym majątkiem, tj. na używanie go tylko dla swoich osobistych celów bez troski o bliźnich. Gmina chrześcijańska uważała takiego za grzesznika. Sw. Cyprian jeszcze w III wieku sądził, że nawet wzgląd na dzieła swego majątku od biednymi. Wynika z tego — pisał — (to jest z rozważań, które podałem przedtem) jak ciężko grzeszy wobec Kościoła ten, kto stawiając siebie oraz swe dzieła ponad Chrystusa zatrzymuje swe bogactwa i nie zmniejsza swym majątkiem uobóstwa potrzebujących. Wiadomo skądinąd, jak surowo traktowały gminy chrześcijańskie grzeszników; po jednym lub więcej upomnieniach wyłączało ich z gminy, czyli ekskomunikowano. Nie tylko bowiem wiara była istotną cechą chrześcijanina. Sw. Ignacy ostrzegał w ten sposób wiernych w Smyrnie przed ludźmi głoszącymi błędy: Niech nikt nie będzie pyszny ze swego stanowiska, całość bowiem stanowi wiara i miłość i nic nie jest ponad to; nauczcie się poznać tych, którzy własne poglądy głoszą o zesłanej nam Łasce Jezusa Chrystusa, jak bardzo są oni przeciwnikami woli Bożej. Nie troszczą się oni o miłość (bliźniego), ani o wdowę, ani o sierotę, ani o uciśnionego, ani o więźnia czy uwolnionego z więzienia, ani o głodnego i spragnionego. Te słowa mógł Ignacy, a wraz z nim całe chrześcijaństwo antyczne, rzucić w oczy nie tylko heretykom smyrneńskim, ale całemu ówczesnemu światu rzymskiemu. Nie były one próżnym przechwalaniem się, ale charakterystyką tego, czym było naprawdę chrześcijaństwo pierwszych wieków.

Ks. Mieczysław Żywczyński

Wielkanoc i wiosna. Bieżąco się odwołujemy się do życia, jest chyba głównym powodem tego składowania.

Zwyczajowość, pojawiająca się w tak różnych aspektach i wymiarach, będąc nieodłącznym atrybutem wielkanocnego optymizmu, każe nam widzieć to jego przejawy, które przekształcają świat krzywdy i ucisku w świat wolności i sprawiedliwości społecznej. Smierć i życie, wojna i pokój oto problem stojący przed światem i domagający się ostatecznego rozwiązania. Jesteśmy świadkami ścierania się dwóch sił, siły wojny i siły pokoju. Trwa walka, ograniczająca cały świat, walcząca o pokój, o zniszczenie broni masowej zagłady, o powstrzymanie szaleństw kroków prowadzących do wojny. Udział w tej walce krajów, które zwykle się obejmowały mianem obozu pokoju, opiera się na podstawach ideologicznych i politycznych, a nie na etyce, humanizmie, a nie z leką przed czyjakolwiek „siłą”, czy „militarną przewagą”. Kraje obozu pokoju prowadzą konsekwentną politykę, nie mają na celu zaborczych i nie utrwalenie pokoju poprzez pokojowe współzestąpienie państw nie tylko o podobnych, lecz także o różnych ustrojach społeczno-politycznych. Z drugiej strony jednak rządzą państw obozu pokoju stwierdzają, że dysponują wielką siłą, która pozwala na odparcie każdej agresji.

Rezolucja Kongresu powzięta na III Ogólnopolskim Kongresie Pokoju wyraźnie określa to stanowisko. Stwierdza ona: „Wobec nowego zagrożenia pokoju ze strony odradzonego militarystyki i agresji niemieckiej, wspieranego przez wojenne ośrodki polityki amerykańskiej, my, polscy obrońcy pokoju, z całą powagą popieramy uchwały konferencji noskiewskiej z grudnia 1954 roku przewidujące w razie ratyfikacji układów paryskich podjęcie przez kraje naszego obozu wszystkich kroków, niezbędnych dla wzmożenia naszych sił i zapewnienia naszego bezpieczeństwa. Wytłumajmy wspólnie dowództwo wojskowe, jesteśmy bardziej wzmocniali przez przyjaźń i współpracę, łączące Polskę, Czechosłowację, Niemcy, Czechosłowację, Niemcy, Republikę Demokratyczną i inne kraje demokracji ludowej z wielkim Związkiem Radzieckim, państwa nasze nie tylko zapewnią bezpieczeństwo naszym krajom, ale i wzmożną siły pokoju na całym świecie”. Toteż nie lekceważąc bynaj-

DOKTRYNA Kościoła katolickiego stanowi zespół prawdy w swej zasadniczej treści objawionych przez Boga, wyrażonych w Piśmie św. i Tradycji. Dlatego zasadniczą treść doktryny Kościoła jest transcendentna w stosunku do historii i niezależna od wszelkich uwarunkowań.

Doktryna ulega rozwojowi, pozostając jednocześnie jedną i tą samą. Istota jej jest niezmienna; w rozwoju nigdy nie odbiega od swych założeń zasadniczych.

Doktryny nie można utożsamiać z Pismem św. czy Tradycją. Zarówno Pismo św. jak Tradycja stanowią wyraz doktryny, jej sformułowanie. I Pismo św. i Tradycja zawierają poza tym elementy nie należące do doktryny (jak np. opis faktów historycznych) lub też będące jedynie wynikiem uwarunkowań epoki czy indywidualności człowieka.

Doktryny nie można utożsamiać z całą nauką Kościoła. Nauka Kościoła jest wykładem doktryny. Poza tym do nauki tej należą prawdy związane w pewien sposób z doktryną, a jednocześnie związane najściślej z okrośloną epoką, jak również i tezy pozadoktrynalne uwarunkowane przez aktualny stan wiedzy.

Doktryna Kościoła nie będąc uwarunkowana w swej zasadniczej i istotnej treści, jest uwarunkowana ubocznie i akcydentalnie. Uwarunkowania te dotyczą:

- Sposobu wyrażania i przedstawiania poszczególnej prawdy;
- Rozmieszczenia akcentów: faktu, że w danym momencie historycznym kładziony był nacisk na te a nie inne prawdy;
- Kierunku rozwoju: faktu, że w danym momencie historycznym ulegały rozwojowi te a nie inne tezy doktrynalne.

Ogólnie możemy powiedzieć, że wszelkie uwarunkowania doktryny są uzależnione od rozwoju świata i wynikają ze współdziałania czynników ludzkiego. Współpraca ludzi w dziele formułowania i rozwijania doktryny daje wyniki różnorodne. Poza ściśle określonymi przypadkami, w których korzysta z formalnej gwarancji Bożej, wprowadza zaś zawsze możliwość niedoskonałości i zalamania.

Sposobu wyrażania i przedstawiania poszczególnej prawdy doktrynalnych jest uwarunkowany przez czynnik ludzki: przez elementy społeczne, ekonomiczne, polityczne, geograficzne, psychologiczne. Jest on uzależniony od stopnia wiedzy, umiejętności wyrażania, środków ekspresji itp. Poszczególne prawdy mogą być wyrażone w sposób niedoskonały. W ich wykładzie istnieją zaciemnienia i niejasności. Szczególnie istotne są ograniczenia wywołane bledami i niewiedzą tych, którzy dane prawdy wykładają, jak również tych, którzy dane prawdy przyjmują i mogą je lepiej lub gorzej rozumieć.

Doktryna Kościoła jest uniwersalistyczna. Tezy jej tworzą układ otwarty. Uniwersalizm ich przejawia się we wszechstronności,

bogactwie aspektów i złożoności pełnej harmonii. Zaden człowiek i żadna epoka nie potrafi ani ogarnąć, ani wyczerpać całego bogactwa i całej złożoności chrześcijaństwa. Jestymy skazani na rozumienie jednostronne, zawsze w jakimś sensie zniekształcające. Nie potrafimy inaczej ujmować chrześcijaństwa, jak kładąc nacisk na pewne prawdy, podkreślając te a nie inne aspekty. Wynikiem tego musi być zawsze jakieś zniekształcenie. Dlatego nasz stosunek do chrześcijaństwa jest czymś kinezycznym, jest procesem, który wymaga stałej korekty, stałego konfrontowania z bezwzględną treścią Objawienia.

Gdy myślimy o Bogu Sprawiedliwym, zapominamy często Boga Miłosiernego. Kładąc nacisk na problem Łaski, najczęściej skłonni jesteśmy zapoznać rolę wolności i odpowiedzialności człowieka. Podkreślając pokorę i małość człowieka wobec Boga — przeważnie zapominamy o jego wielkości w porządku Stworzenia. Za każdym razem poprzez swe jednostronne ujęcie zniekształcamy obraz doktryny. To — zresztą czysto akcydentalne — zniekształcenie nie jest przypadkowe, lecz ściśle uwarunkowane historycznie.

W okresie średniowiecza, w ramach ustroju feudalnego, główny nacisk kładziono na problem autorytetu i władzy, która pochodzi od Boga. Teza ta sama w sobie jest prawdziwa. Jednak fakt, iż kładziono na nią tak nieproporcjonalnie wielki nacisk — był ściśle uwarunkowany historycznie i społecznie. W pewnym sensie było to nadużycie: służyło bowiem nie samej prawdzie, ale interesom pewnej konkretnej rzeczywistości — więcej: pewnych konkretnych grup społecznych. Jednocześnie bowiem zapoznawano problem wolności człowieka; zapoznawano praktycznie też tę prawdę, że władza, aby naprawdę pochodziła od Boga, musi być sprawiedliwa.

Kierunki rozwoju, fakt, że w danej chwili ulegały rozwojowi te a nie inne prawdy doktrynalne, jest m. in. uwarunkowany przez elementy strukturalne życia ludzkiego, tzn. przez układ czynników ekonomicznych, społecznych, politycznych itp.

Uzależnienie to sięga często głęboko i odgrywa olbrzymią rolę w rozwoju doktryny, warunkując jej aktualny stan, a w konsekwencji jej społeczną i historyczną funkcję. Jest ono złożone i wielokrotne. Ujmując zagadnienie najogólniej, można stwierdzić:

W danym momencie historycznym ulegały rozwojowi te prawdy doktrynalne, które:

- Są potrzebne ze względu na rozwój danej epoki, które ją wyprzedzają i w jakiś sposób rzutują na jej ewolucję, które jej odpowiadają i są w stosunku do niej elementem twórczym. Są to te prawdy, które będąc integralnie związanymi z danym okresem historycznym, dynamizują jego rozwój;
- Służą danej epoce, utrwalają jej podstawy i są w stosunku do

pracy związanej z walką o pracech zwołanych w wojewódzkiej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich delegowały swych przedstawicieli na III Ogólnopolski Kongres Pokoju. Marcowe obrady Prezydium Komisji Krajowej poświęcone były omówieniu sytuacji międzynarodowej i ogólnonarodowych zadań, wiążących się z prowadzoną w całym kraju kampanią pokojową. Oświadczenie uchwalone na tych obradach dowodzi, jak istotną dla katolików polskich jest sprawa „protestu sumień” przeciw planowanej wojnie, w obronie „własnego życia, życia narodu i ludzkości”. Stwierdza ono m. in.: „Wszystkie podstawowe zasady katolicyzmu — religijne, moralne, polityczne — są w pełni zgodne z pokojem i przetrwaniem ludzkości. Wobec agresywnej — sprzeciwiającej się absolutnie zbrodni ludobójstwa atomowego. Trzeba, aby masy katolickie włączyły się w służbę zadania uratowania cywilizacji ludzkiej. Aktywność katolików w tej sprawie ma zasadnicze znaczenie dla rozwoju kultury katolickiej w nowym świecie sprawiedliwości społecznej”.

Jednocześnie Prezydium Komisji Krajowej Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich postanowiło zorganizować we Wrocławiu w dniu 21 kwietnia br. masowe zebranie duchowieństwa i świeckich działaczy katolickich z Ziemi Zachodniej z udziałem licznych działaczy Komisji z całego kraju. Związanie tego zebrania z 10-leciem powrotu do Polski ziem nadodrzańskich, w sytuacji napiętej walki przeciw próbom rozpętania nowej wojny, przeciw reemigracji Niemców, i zorganizowanie go właśnie na tych ziemiach, które są najbardziej narażone na działania uchwały wojny jest jak najbardziej oczywiste. Jednak elementem dodatkowym dla wszystkich katolików jest wyznaczenie przez nich świątynią, którą w imię miłości bliźniego nakłada na nich obowiązek zajęcia się ogólnym wyznaniem światowskim.

Katolicy polscy biorą aktywny udział we wszystkich

tyfikacji układów paryskich została dokonana przy użyciu siły presji politycznej. Tak np. we Francji obserwowaliśmy zarówno coraz silniejsze i silniejsze się siły patriotyczne, objawy zamieszania i rozłam w burżuazyjnych, do niedawna proamerykańskich partiach. Wielka Brytania — to teren wielkich strajków i masowych wystąpień związków zawodowych przeciw ubrajanym Niemiec zachodnich. Również w samych Niemczech zachodnich widać przejawy głębszych zmian w nastrojach ludności pracującej przeciw polityce militarystyki i podziału kraju.

Toteż, choć zwiększyło się niebezpieczeństwo nowej wojny w związku z ratyfikacją układów paryskich — widzieć trzeba również i to, że siły, prowojenne nie posiadają zaplecza ze strony swych narodów, że zajmowane przez nie pozycje są już dzisiaj nie pewne, a osłabione zostaną nieuchronnie przez włączanie rządu Obozu Pokoju.

Nie trudno przewidzieć, że zasadniczo inna byłaby sytuacja i innej potoczyłby się wypadki, gdyby układy paryskie zostały uchwalone w życie bez żadnej walki, bez tych przeszkód i oporów, które na szczęście zaistniały. Patrząc na zagadnienie możliwe obiektywnie — trzeba powiedzieć, że właśnie ta walka przeciw ratyfikacji układów stała się konkretną działalnością i pomocą narodów zachodnio-europejskich jako sojuszników Obozu Pokoju. Dlatego jeszcze dzisiaj można zagrozić drogę wojnie i powstrzymać prowojenne przygotowania. Stworzenie tej wielkiej zapory przeciw szaleńcom krokiem, dla którego podstawa miało być welenie układów paryskich w życie — jest zadaniem Obozu Pokoju, jest zadaniem wszystkich katolików, którzy uchwalili chęć świata przed groźbą ma katastrof.

Udział w tej akcji wszystkich uczelnych ludzi jest jak najbardziej oczywiste. Jednak elementem dodatkowym dla wszystkich katolików jest wyznaczenie przez nich świątynią, którą w imię miłości bliźniego nakłada na nich obowiązek zajęcia się ogólnym wyznaniem światowskim.

Katolicy polscy biorą aktywny udział we wszystkich

niej elementem zachowawczym. Ta druga funkcja może być bądź pozytywna, bądź negatywna. Jest ona pozytywna w okresie wzrostu sił twórczych epoki, w okresie jej rozwoju. Jest natomiast negatywna w okresie jej zamierania i wynaturzenia.

Rzecz jasna, że rozwój doktryny jest przejawem ścierania się przeciwieństw każdorazowo wynikających z konkretnej sytuacji historycznej. Stwierdzeniu i rozwojowi ulegały te prawdy, które w danym momencie są atakowane i kwestionowane. Gdy tylko jakaś herezja usiłuje podważyć którąś z prawd Kościoła, natychmiast w odpowiedzi prawda ta jest konkretyzowana, formułowana ściślej i precyzyjnie.

Prawdy doktrynalne, które w danym momencie ulegały rozwojowi, spełniają niesłychanie doniosłą rolę cywilizacyjną. Jednocześnie w fakcie, iż rozwojowi ulegały te a nie inne prawdy, nie ma nic przypa-

Nawet tak abstrakcyjne problemy, jak zagadnienie Bóstwa Chrystusa czy Trójcy Świętej, były najsłabiej związane z daną epoką; w jakiś sposób z niej wynikały, a jednocześnie niesłychanie silnie na nią oddziaływały. Na Zachodzie przez dziesięciolecia podtrzymywane jest twierdzenie, że w Słowie Wcielonym jest pełnia natury ludzkiej i pełnia Wcielania. „Dzięki temu — pisze Mounier — cywilizacja europejska — jedyna spośród wszystkich nie będzie szukała ucieczki od świata i począty aktywności pracy ludzkiej z nienurowanym zmysłem kontemplacji. Głosi się jedynego Boga, który nie pozwala na żaden podległy kult, jednocześnie, jak to wykaże Duhem, nauka wyzwalała się od pierwiastka magicznego i staje się możliwa, zapewniona w ten sposób raz na zawsze, jedność świata dzięki jedności Boga. Wiara w Boga nieskończonego i wyzwalającego człowieka do ciągłego dokonywania się toruje drogę cywilizacji nieskończonej czynnej i wciąż się rozwijającej”.

Również z konkretnej sytuacji historycznej wyrosły problematyka i rozstrzygnięcia okresu Reformacji. I one z kolei wywarły niesłychanie głęboki wpływ na całą cywilizację współczesną. Luter odmówił Kościołowi katolickiemu sukcesji apostołskiej i nie uznał prymatu papieża. Ujął on Kościół jedynie jako pewną rzeczywistość czysto duchową, podważając jednocześnie sakralność kapłaństwa i zwiększając nieograniczenie prawa laikatu. Dopuszczono do reakcji: w odpowiedzi strona katolicka zajęła stanowisko jednostronne i skłaniając przeciwne. Kościół dla Kontreformacji był przede wszystkim organizacją, instytucją konkretną i widzialną, hierarchią, na której czele stał papież. Dopiero w wieku XX budził się z kolei reakcją przeciw tej jednostronności, akcent jest skorygowany. Zostaje sformułowana nauka o mistycznym Ciele Chrystusa: Kościół jest już r o w n i e z rozumiany jako pewna rzeczywistość czysto duchowa. — Pod wpływem luteranizmu zaczęto także w sposób zbyt skrajny i jednostronnie podkreślać charakter hierarchiczny i arystokratyczny Kościoła. Mówiono wyłącznie o obowiązkach świeckich, milczano na temat ich uprawnień. Zaczęto świeckich określać jako tych, którzy w Kościele nie posiadają żadnych praw. A przecież w pierwszych wiekach prawa laikatu były bardzo znaczne. Brał on udział w wyborze biskupów i papieży. Świecy mieli w szerokim zakresie prawo nauczania, nawet wygłaszania kazań. — Obecnie akcenty zostają na powrót przesunięte. Mówi się o prawach świeckich w Kościele, podkreśla się, że osiągnęli oni jako stan w Kościele pełną dojrzałość, przypominają się nauki o kapłaństwie wszystkich wiernych.

Należy się nieco zatrzymać, aby jeszcze silniej uwydatnić niesłychanie istotną a zarazem negatywną rolę, jaką odegrała Reformacja w dziele ewolucji doktryny Kościoła, Ślusnie Jacques Leclercq podkreśla, że dziś już nie możemy sobie wyobrazić, jak potężnym była ona wstrząsem i jaką wywołała panikę. Siła tego wstrząsu była tak wielka, że zamiast stać się bodźcem jakiejś ewolucji, spowodował stagnację. Kontreformacja była cofnięciem się, była zatrzymaniem rozwoju Kościoła tak wewnątrz jak i zewnątrz. Wszelkie tendencje reformistyczne po stronie katolickiej sprowadzały się do czasów Lutra do prób odbudowania przeszłości. Dopiero dziś jesteśmy świadkami przezwyciężania w Kościele skutków Reformacji. Cały problem polega na przesunięciu na właściwe miejsce tych akcentów, które zostały położone wadliwie, w sposób jednostronny i skrajny, niezgodnie z duchem doktryny.

Bolesław Piasecki we wstępie do swej pracy pt. „Zagadnienia istotne” podkreśla pewne bardzo ważne przesunięcie akcentu, jakie się dokonało na długo przed reformacją, a które Reformacja jeszcze pogłębiła. — Oto cały nacisk interpretacji doktryny w teologii i nauczaniu wiary został położony na oświetlaniu teologii z dziełem Odkupienia przy jednoczesnym zapomnieniu problematyki związanej z dziełem Stworzenia, w którym człowiek ma udział poprzez swą pracę twórczą. Widać się, iż został tu poruszony problem wielkiej doniosłości, który należy zasadniczo zanalizować.

M. R.

Jerzy Krasnowolski

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 45; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakładu Drukarskiego i Wsklepiarkowe RSW „Prasa” W-wa M. Wilkowska 3/5 Zam. nr 733. 0-6-3914

OBRACHUNKI PLASTYCZNE

NAJPIERW była sztuka — potem był wiek XIX. Nigdy jeszcze w historii sztuki nie było okresu tak wielkiego upadku. Nigdy jeszcze nie powstawała tak wielka ilość bohazów i kiczów. Ten ciężki ładunek tandety, ten dziegciastawy smiatek dziś jeszcze utrudnia odkrycie tego, co w tym stuleciu wniosło do prawdziwych wartości artystycznych.

Dziewiętnastowieczne malarstwo cierpiało na chorobę, która jest zawsze śmiertelna dla sztuki. XIX-wieczne malarstwo było chore na literaturę. Specyfiką malarstwa jest wyrażanie a raczej wzbudzenie w widza treści przy pomocy czysto plastycznych środków. Z chwilą, gdy malarstwo zaczyna opowiadać, gdy zaczyna opisywać, gdy warsztat malarski zamienia się w aparat do naturalistycznego przedstawiania zjawisk, kończy się malarstwo, kończy się sztuka — zaczyna się tania ilustracja, oleodruk, zaczyna się szmira.

Wiek XIX, okres rozwoju burżuazji, okres panowania mieszczaństwa, epoka ciulaczy, karierowiczów i rentierów — pozostawił po sobie sztukę, która równie mało ma wspólnego z prawdziwym artystyzmem, jak mieszczańska vegetacja z prawdziwym życiem. Symbol tego okresu to kanapa z poduszkami haftowanymi ręką pani domu; pod kanapą ukryta jest postchocha ze srebrnymi monetami. Tęsknota artystyczne średnio-zamożnego mieszczaństwa biegły po linii sztuki gloryfikującej te wszystkie cnoty, na których opierał się ówczesny dobrobyt burżuazji. Smak, a raczej brak smaku klasy, która zaczynała odgrywać decydującą rolę w życiu społecznym określał i równocześnie odpowiednio obniżał artystyczny poziom tej sztuki. Średnia zamożność, umiłowanie blichtru i pozorów bogactwa wpływały na jej poziom: — w każdym mieszczańskim domu wisiały obrazy, zapotrzebowanie było duże — i tu jest geneza powstania całej masy okropnych młolawek.

Ideale mieszczaństwa były płaskie i ściśle ograniczone; właściwie ideałów nie było, bo pieniądz nie może być ideałem. Zdawało się, że na terenie sztuki religijnej, sztuki ideowej, związanej z duchowymi potrzebami, które pozornie czy prawdziwie istniały w mieszczaństwie, powstaną dzieła, których głębia przeżycia i poziom artystyczny przewyższy sztukę świecką. Tak jednak nie było. Sztuka religijna — malarstwo na ścianach kościołów, wizerunki świętych w mieszczańskich, dewocjonalia — to wszystko było równie tanie, nieprawdziwe i okropnie pod względem artystycznym. I tu dochodzimy do pewnego wniosku, bardzo zasadniczego. Sztuka religijna, mimo swej odrębności treściowej mieści się zawsze w kano-nach sztuki danego okresu. Nigdy nie istnieje w formie wydzielenia, nigdy nie posługuje się środkami wyrazu zastrzeżonymi wyłącznie dla siebie. Środki wyrazu okazują się równie ważne i istotne w twórczości artystycznej świeckiej jak i w twórczości religijnej. Upadkowi sztuki w XIX wieku towarzyszył równoczesny upadek sztuki religijnej.

Malarstwo religijne XIX wieku cierpiało na ilustracyjność. Choroba jego była z gatunku tych samych, które nurtowały malarstwo świeckie — skutki jednak, widoczne aż nazbyt wyraźnie do dnia dzisiejszego, były jeszcze bardziej katastrofalne. Nad twórczością religijną zawisła poważna groźba — groźba zaginięcia dzieła sztuki — traktowanie obrazu wyłącznie jako przedmiotu ilustrującego zagadnienia związane z religią.

WJAKIM stopniu obraz religijny jest dziełem sztuki, a w jakim stopniu przedmiotem kultury? Musi spełniać oba warunki równocześnie, w przeciwnym razie przeobrazi się albo w dzieło sztuki zupełnie przypadkowe i powierzchowne

wnie wykorzystujące jakiś motyw związany z tematyką religijną — albo stanie się tandetnym obrazkiem, nie mającym ze sztuką nic wspólnego, prymitywnym jarmarcz-nym oleodrukiem, który zaprzecza wielkim tradycjom sztuki kościelnej.

Historyczne przykłady malarstwa, rzeźby i architektury kościelnej wykazują najlepiej to, że poprzez formę wielkiego dzieła sztuki najpełniej dochodzi do głosu przeżycie religijne. Wielki artysta, mistrzowski opanowanie środków wyrazu przez artystę podnosi rangę, wzbogaca działanie i wartość, uszlachetnia dodatkowo dzieło sztuki kościelnej. Jeśli geneza jego powstania jest przeżycie religijne, pragnienie użyczenia swoich uczuć i wzbudzenie tych uczuć u innych — to z pewnością nie wystarczy sama dobra intencja. Sama pobożność nie zastąpi talentu. Kościół od wieków wyrażał swoje idee w formie możliwie najdoskonalszej, najpiękniejszej — wzniosłość przeżycia odpowiadała harmonii formy. Nieudolność, szpetota, tania ilustracyjność może być często zwulgaryzowaniem tych uczuć, zepchnięciem ich do niższej rangi. Uczucia muszą mieć swoją gramatykę — tą gramatyką są przepisy sztuki. One normują, upowszechniają i utrwalają to, co mogłoby się stać niezbytelnym chaosem. One tworzą szlachetną atmosferę, nieodłącznie związaną z wnętrzem kościelnym poprzez całą historię — atmosferę kultury.

To co zostało osiągnięte w sztuce kościelnej poprzez tyle stuleci — wiek XIX zagubił, zniszczył, zamienił w arsenał mdłych naśladowców i ekliwów, przestodzonych świętów. Z biegiem lat przyzwyczajono się utożsamiać eklektyczne wnętrza z pojęciem typowego wnętrza świątyni. Zła sztuka zepsuła smak zarówno wiernych jak i kapłanów. Atmosferę kościołów burzyła obecność tuzinkowej tandety.

Kryzys pogłębiał się jeszcze przez porównanie ze sztuką świecką, która w dziedzinie malarstwa, we Francji rozpoczęła walkę z historycyzmem. Gdy płótna van Gogha, Cézanne'a czy Gauguina zdobywały sobie szerokie zastępy wielbicieli — na terenie malarstwa kościelnego panowała cisza. W pseudohistorycznych wnętrzach wieszano nadal gipsowe, fabryczne ozdoby. Każde nowatorstwo budziło grozę, szokowało, było zwalczane. Kościół, który dawniej był motorem rozwoju sztuki, teraz nie tylko ten rozwój ignorował, ale często hamował. Dawał się wyprzedzać świeckiej sztuce o dziesiątki lat, nie wierzył w skuteczność przemian na terenie sztuki, w ich istotne znaczenie.

Pierwszym wylotem w tym stanie rzeczy było powstanie na terenie Francji nowych kościołów zaprojektowanych przez architekta Perreia z żelazobetonu, nowego wówczas materiału konstrukcyjnego. Kościoły te były surowe, prymitywne, o zimnych, nieprzyjemnych wnętrzach, ale stanowiły zasadniczy krok naprzód na terenie sztuki kościelnej. Jeśli nawet można kwestionować ich architektoniczne zalety — to są cenne przez to, że po raz pierwszy z wnętrza kościelnego znikł cały bagaż brzydki, niepotrzebnych, fabrycznych ozdób. Te żelazobetonowe kościoły — to także pierwsza próba zastosowania w architekturze kościelnej nowych, na wskroś współczesnych środków wyrazu.

SZTUKA religijna nigdy nie była i nie może być odseparowana od środków wyrazu współczesnej sobie sztuki świeckiej. O ile w architekturze te środki wyrazu dość prędko zostały zasymilowane, to na wcielenie ich w dziedzinie malarstwa długo trzeba było czekać.

Przyczyną tego jest przede wszystkim sam charakter współczesnego malarstwa, które przed długi czas zaabsorbowane było technicznymi, warsztatowymi problemami, które przestało interesować się treścią —

a treść jest przecież w sztuce religijnej rzeczą istotną. Ściany pierwszych nowoczesnych kościołów były puste; jedynym ornamentem był rytm ażurowych otworów okiennych. Udział sztuki w tych wnętrzach był minimalny, w najlepszym wypadku nad ołtarzem umieszczano jakąś prymitywną dekorację, jakiś bardzo skromny fresk.

Równocześnie jednak istniała już — bardzo mała wprawdzie — grupa malarzy, którzy pragnęli w swych pracach wyrazić, że współczesne malarstwo religijne, operujące nowoczesnymi środkami, to nie żaden mit; że ten gatunek sztuki niekoniecznie musi być związany z eklektyzmem i naśladownictwem dawnych wzorów. Malarze ci działali na własną rękę. Ani nikt nie zamawiał u nich religijnych obrazów, ani co gorsza nikt — przynajmniej początkowo — nimi się nie zachwycał. Malowali z własnej potrzeby, sztuka ich była szczera i zarazem bardzo nowatorska. Siłą faktu nie byli to malarze interesujący się tylko zagadnieniami nowoczesnego warsztatu, eksperymentująca czystą formą. Specyfika sztuki religijnej wymagała od malarza już pewnego przygotowania. W swoich innych, świeckich pracach musieli oni rozwiązywać problemy, które choć odrębne, miały coś wspólnego z charakterem sztuki kościelnej.

Jakie są te problemy, jaka jest specyfika religijnego malarstwa? Jeśli geneza obrazu religijnego jest przeżycie, kontemplacja jakiegoś zagadnienia związanego z tematyką religijną, to w gruncie rzeczy jest to warunek powstania każdego dzieła sztuki. W obrazie świeckim zmienia się gatunek bodźców, ale sam proces jest identyczny. Matisse mówi, że wierzy, kiedy maluje, nie powiedział wcale paradoksu. Odmienne jest jednak cel, funkcja sztuki religijnej. Obraz religijny powinien wzbudzać u widza treść, na-

strój, określone religijne przeżycia. Powinien posiadać pewien ładunek, pewną ekspresyjność, którą narzuci widzowi.

PIERWSI malarze, którzy zajęli się problemem religijnego malarstwa to ci, którzy w swojej normalnej świeckiej twórczości bliżej byli zagadnieniem przekazywania w malarstwie treści, kształtowaniu formy malarskiej tak, aby dawała się czytać w myśl intencji malarza, aby posiadała zamierzony wyraz. Ci malarze to ekspresjonści. To przede wszystkim Georges Rouault, który mimo religijnej tematyki swoich obrazów długo musiał czekać na uznanie ze strony władz kościelnych; to paru niemieckich malarzy jak Nolde, czy malarz norweski Munch, w których twórczości tematyka religijna zajmuje raczej przypadkowe, marginesowe miejsce.

Twórczość tych paru malarzy, łącznie z kilkunastu innymi z młodego pokolenia stanowi istotny dorobek sztuki religijnej przez swoją niezaprzeczoną współczesność, przez wciągnięcie do sztuki kościelnej najbardziej nowoczesnych i rewolucyjnych środków wyrazu. Starali się oni nadać swoim pracom charakter ściśle związany z najnowszymi zdobyczami techniki malarskiej. Byli bezkompromisowi w dążeniu, by sztuka religijna nadgoniła obrzymie formalne zaległości.

Ekspresja w sztuce kościelnej to tylko jeden element. Cechą nieodłącznie związaną ze sztuką, której celem jest zdobienie wnętrza świątyni — jest dekoracyjność. Jest to cecha częściowo wtórna, wynikająca zarówno z charakteru ściennego malarstwa i rzeźby w kościele, jak i chęci podporządkowania go architekturze. Z drugiej strony dekoracyjność nieodłącznie wiąże się z dążeniem, by wnętrze kościoła uczynić najbardziej godnym przeżyć z



Georges Rouault św. Weronika — witraż.

jakimi wiąże się ono dla wiernych. Pragnienie, aby uświetnić kościół — to pragnienie bardzo stare i znajdujące w każdej epoce odmiennie, typowe dla niej rozwiązania. Na rozwiązanie prawdziwie współ-

czesne długo trzeba było czekać. Dzieła wielu artystów. nawet z tych, którzy zajmowali się z własnych pobudek zagadnieniami sztuki religijnej, typowe dla niej rozwiązania.

(Dokończenie na str. 12)

WSPÓŁCZESNA SZTUKA RELIGIJNA

WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI

ZMIERZCH MUZYKI A CAPELLA

OD czasów, kiedy papież Pius X wydał w 1903 r. słynne Motu proprio ustalające nowe zasady w stosunku do muzyki kościelnej minęło przeszło pięćdziesiąt lat. Niedługo to okres czasu a jakże brzemienne w wydarzenia muzyczne, jakże bogaty i twórczy. W dążeniach awangardowych przeciwko tradycjom dziewiętnastowiecznej, uczuciowości i subiektywności powstają w tych latach nowe kierunki, zupełnie nowe koncepcje muzyczne. W konsekwencji odwrótu od muzyki programowej wstają zainteresowania konstrukcją i formą utworu. Rodzą się do absurdu nawet doprowadzone eksperymenty w zakresie języka muzycznego i systemów tonalnych z całkowitym odstąpieniem od tonalności dur-moll łącznie. Powstaje muzyka współczesna szokująca ucho przyzwyczajone do rozwiązań brzmieniowych ubiegłego wieku, niemniej nie powstrzymana w swym spontanicznym rozwoju. Rozwój ten obejmując wszystkie dziedziny twórczości od wokalistyki po ilustrację baletową nie omija też muzyki religijnej i kościelnej.

Wystąpienie Piusa X zbiegło się z aktywną działalnością ojców Benedyktynów z Solesmes, a także ogólną tendencją do odrodzenia tradycji chorałowych i polifonii klasycznej w liturgii katolickiej.

„Śpiew gregoriański był i pozostanie na zawsze najdoskonalszym wzorem dla muzyki kościelnej... „...z pomiędzy różnych gatunków

muzyki nowożytnej najmniej nadaje się do nabożeństwa styl teatralny, jaki w zeszłym wieku rozpoznał się zwłaszcza we Włoszech... — głoszą zasady M o t u p r o p r i o.

Muzyka kościelna jest przecież związana z liturgią. Rola jej nie polega jedynie na uświetnieniu uroczystości czy ilustrowaniu jej dźwiękiem. Współczesność w nabożeństwie staje się nieodzownym jego dopełnieniem, wyrazieliwą kultu, modlitwy. Przez swą obecność potęguje nastroj, pogłębia przeżycia religijne. Kościół nie może być miejscem wirtuozowskich popisów, czy efektownych sztuczek jak miało to miejsce w czasach polifonicznego „szaleństwa” niderlandzkich mistrzów, czy teatralnego stylu ubiegłego wieku. Reformy wprowadzone w ostatnich dziesięcioleciach dziesiętnego wieku i w początkach naszej epoki wykazały dążenia do likwidacji „koncertującego” charakteru muzyki kościelnej, do wywołania jej od niekorzystnych wpływów twórczości świeckiej.

Ostatnie półwiecze przyniosło jednak ponownie skomplikowanie tych problemów. Ogólny a żywiołowy rozwój muzyki nie pominął też twórczości o tematyce religijnej czy przeznaczonej dla wykonywania w kościele. Operowanie nieznanymi dotąd środkami wypowiedzi nie powstrzymało kompozytorów przed przeszczerpieniem ich na grunt muzyki kościelnej. Powstają dzieła o wielkiej nieraz sile wymowy, tak

jednak odmiennie od dotychczasowych, że aż dźwięczne. Mnożą się eksperymenty językowe i formalne.

Debussy tworzy np. do genialnego dramatu religijnego Gabriela d'Annunzio — „Męczeństwo św. Sebastiana” muzykę o niezwykłych rozwiązaniach formalnych, stojącą już na pograniczu tonalności dur-moll, a tak przecież głęboko oddającą mistyczną treść poematu i osiagającą taki stopień sugestywności, że zaliczyć ją trzeba do najwyższych osiągnięć sztuki kościelnej. Emile Vuillermoz powiedział krótko po premierze „Męczeństwa”: „Debussy napisał dziś swojego Parsifała”.

Inni kompozytorzy idą jeszcze dalej. Obok reformy brzmieniowych i formalnych pojawiać się zaczyna nowy zestaw instrumentów. Jean Francixa w swym oratorium „Apokalipsa św. Jana” napisanym w 1939 r. przedstawia chórówi mieszanemu dwie orkiestry. Jedna złożona z instrumentów smyczkowych, o czystym brzmieniu oznaczać ma Niebo, druga zaś przedstawia Moce Piekłne i reprezentowana jest przez akordeon, róg, saksofon, gitarę, mandolinę i całą galerię instrumentów perkusyjnych. Podobną „terminologię” stosuje jeden z największych współczesnych kompozytorów religijnych Olivier Messiaen, który w „Les Trois petites liturgies de la presence divine” z 1944 r. orkiestrę smyczkową oraz kobiece glosy unisono łączy w swym dziele z fortepianem, wibrafonem, maracasem, gongiem i nawet... tam-tamem.

Inwazja nowych prądów muzycznych stała się przyczyną niejednego konfliktu. Wśród kompozycji obejmujących w ostatnim pięćdziesięcioleciu tematykę religijną znalazły się także dzieła przesadzone, zbyt eksperymentatorskie, czy nawet nieudolne. Nie wydaje się jednak, by mogły być wśród nich utwory nie powstałe ze szczerzej intencji wyrażenia językiem epoki — religijnych treści. „Jestem przede wszystkim muzykiem-katolikiem — mówi wspomniany już Olivier Messiaen — wszystkie moje dzieła są aktem wiary i wyrażają hoid mece Chrystusa. Staram się tworzyć muzykę, która byłaby muzyką nowoczesną, a która kazalaby zarazem kochać i czcić”. Stowa Messiaena wydają się prawdziwie. Trzeba w nie wierzyć wtedy nawet, gdy dziwi nas w jego utworach zaskakująca synteza elementów nowoczesnej z głosem tradycji, kiedy jego mistyka nie trafia do przekonania.

Poszukiwania współczesnych twórców muzyki kościelnej to nowy, jakże ciekawy etap jej rozwoju. Niewielu znalazło one jeszcze komentatorów i krytyków, niewielu sędziów. W obliczu tego faktu tym większą nabierają wagi słowa Oj-

ca Świętego wyjęte z Jego orędzia wystosowanego w końcu ub roku do uczestników II Międzynarodowego Kongresu Katolickiej Muzyki Kościelnej:

„O ile konieczny jest szacunek dla przejętej w spadku po naszych przodkach muzyki kościelnej, o tyle domy Boże winny zarazem otwierać swe pocwoje także i dla tych nowych dzieł sztuki, które — jak w Złotym Wieku sztuki kościelnej — natchnione są prawdziwie katolickim duchem, a tworzone przez obdarzonych łaską artystów, aczkolwiek ich forma zewnętrzna stosuje się do nowoczesnych twórców i nowoczesnej techniki. Zadaniem naszym jest utrzymanie zgodności między dnem wczorajszym i dzisiejszym i torowanie dróg takiej muzyce, która podobalaby się Bogu, a wierne-mu ułatwiała zasylanie na jej skrzydłach modłów przed tron Najwyższego”.

Wypowiedź powyższa jasno określa stosunek Kościoła wobec współczesnej twórczości religijnej. Uznając ogólny rozwój muzyki, rewolucyjne przemiany w zakresie języka, formy, czy rozwiązań harmonicznych Kościół godzi się z ich przeniesieniem na msze, współczesne motety czy oratoria. Broniąc starych zasad i wielowiekowych tradycji muzyki kościelnej, ulega jednak inwazji nowych prądów muzycznych.

Ustępstwo to nie oznacza upadku, ale odwrócenie jest właśnie symptomem rozwoju. Właśnie dzięki temu, że Kościół broniąc podstawowych zasad muzyki liturgicznej nie zasklepił jej w pierwotnych formach, lecz pozwolił postępować za ogólnym rozwojem muzyki, przetrwał chorał gregoriański, choć wielokrotnie przerabiany w różnych czasach, dotrwał przecież do naszych dni.

Jeżeli ostatnie przemiany nadszarpanej nieco żelazne zasady sztuki kościelnej, jeżeli coraz bardziej odstępuje się od ideału muzyki a capella na korzyść polifonii i niemal zupełnie zapomina o prawach wyjątkowości muzyki wokalnej w liturgii katolickiej — nie świadczą to o schyłku całej muzyki religijnej.

Wydaje się zresztą, że długo jeszcze w pojęciach estetycznych odbiorców nowa muzyka nie znajdzie pełnej aprobaty, długo jeszcze istnieje będzie przesądzenie, że nie ma nic bliższego w modlitwie nad czystą muzyką wokalną, że nie tak nie pogłębia nastroju jak spokojny, „harmoniczny” śpiew płynący z kościelnego chóru, unoszący się nad pochylonymi głowami i w kolorowych słońcach witraży.



Józef Trenarowski: Stacje Męki Pańskiej.

Liryczny margines WYDANIA NARODOWEGO

MICKIEWICZ — to dla wielu z nas „kraj lat dziecinnych”, co „zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie”. Wędrowało się do tego kraju przez różne wydania dzieł poety. Jeżeli chodzi o mnie, odbyłem tę wędrowkę dzięki oprawnym w szafirowe płótno tomikom z biblioteki ojca. Było to tak zwane „wydanie galiczyjskie” z 1910 r. opatrzone wstępem i objaśnieniami Piotra Chmielowskiego. Odmówiono mi tego szczęścia, żeby ręka ojowska wprowadzała w ten świat zaczerpnięte, Gorący miłośnik oświaty wśród ludu w ciągłych rozjazdach po zapadłych wsiach, gdzie organizował tajne nauczanie po polsku, nabrał się zapalenia płuc i umarł, zanim zdążyłem go utrwalić na filmowej taśmie pamięci. Została kolekcja fotografii, liczne szpargały i biblioteka wcale pokazuje wyładowana różnymi księgami. Stąd właśnie zstąpił do mnie Mickiewicz: z rządu tomików, których złoczone grzbiety nie odpędzały jednak myśli o ich szczupłości wobec przykład takiej polki z dziełami Kraszewskiego. Niebawem proporcje się odmiennie, jak w podręczach Guliwera. Zaczęłam żyć w rozterce między ogromem piękna „Pana Tadeusza” i gigantycznością „Dziadów”. Poępna melodia wierszy „Konrada Wallenroda” roztafiała się w gorącym śpiewie „Sonetów Krymskich”, a ten śpiew przepłazowały gromy „Improwizacji”. Pod rytmem i rytmem tworzyły się wiry sięgające jakiegoś dna wzniosłości, udreki, ekstazy. Spadły pierwsze doznania tragizmu ludzkiego. Bila z tych wierszy elektryczność odrętwiająca zachwytem i bólem. Szafirowe niewielkie tomiki zdystansowały wszystkie skarby ojcowskiej biblioteki, wszystkie najbardziej ozdobne i zażywane wolumny. Zaczęło się od „galiczyjskiej edycji”, którą przysposobił Piotr Chmielowski, skończyło się na odkryciu geniuszu rozsądającego działania i przeznaczenie ludzkie w kategoriach bezwzględego zdecydowania na świętość, na bunt tytaniczny, na porwyt zbrodniczy i mściwy, na pokorę bezdenną, wszystko zatapiającą. W latach, gdy nad widokiem dopiero się zapalała jutrznia młodości, spotkałem Sfinksa, który mi postawił zagadkę człowieka. Sfinks patrzył surowo i przejmująco w zizerunku Horowitza, którym Piotr Chmielowski ozdobił swoje wydanie.

Te drogę od książki do człowieka, do człowieka-wzoru, człowieka-herosa, wskazał sam Mickiewicz, powołując do istnienia Gustawa, Konrada Wallenroda, Konrada, Jaczka Sopolice, księdza Piotra. Byli oni strzaskani gniewem na zło ziemskie, na kult złotego cielca, jak tablice przykazań, i jak one — całkowicie, wyroczone nieodwołalnie. Sam Mickiewicz ustawił jako imperatyw kategoryczny — równomierność sztuki pisarskiej ze sztuką życia w stałym oczyszczającym trudzie moralnym. Pisząc kiedyś w „Piełgrzymie Polskiej” o pamiętnikach Karola Różyckiego, on, mistrz nad mistrze artystycznej polszczyzny, ukorzył się przed żołnierską prostotą, przed obozową niejako szorstkością stylu wspomnień bohatera rewolucji narodowej 1830 r. „Czytaliśmy Pamiętnik w kilku; słuchaczami byli rodacy poświęcający się naukom, pisarze, jak to mówią, z profesji. Wszyscy oni uznali, iż to dzieło jest nowym dowodem prawdy dawnej, ale mało cenionej; że sztuka cała pisania leży nie w książkach, ale w duszy, że dosyć był niepospolitym człowiekiem, aby zostać niepospolitym pisarzem”.

Nie była wielkość Mickiewicza niby laur późno przyznany i złożony, jakby powiedział Naruszewicz, „aż na posąg”. Współczesność żyła tą wielkością. Borykał się z nią Juliusz Słowacki, złorzeczył jej, gdy zesłała na manowce towarzyszczyzny, Zygmunta Krasiński, ryłował ją w swoim kamiennym słowie Cypryan Norwid. Niemcewicz, Czartoryski, Mochacki, Worcell, przyjaciele filomacji, z którymi przeżył „szczęśliwe dni młodości”, „spółuczniowie, spółwielkocześni, spółwielkocześni, spółwielkocześni”, „dobrzy Polacy, pełni uczucia”, „pocztowi żołnierze”, „tudzic młodzi”, za których leżał krzyżem w „Widzeniu księdza Piotra” — wszyscy oni hold należyły złożyli.

„Tyś dziś jedyna dla mnie kotwica, Adamie” — wznosił się „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej” głos Franciszka Malewskiego po klęsce rewolucji listopadowej. A Tomasz Jeź, który się boczył i sękał na Mickiewicza za jego pospolitąć wśród bigotów i maniaków owładniętych mistycyzmem, zamknął kronikę tego sporu chyba czymś takim, co można nazwać strzelistym aktem adoracji: „W r. 1851 miałem dwukrotnie sposobność złożenia holdu wielkiemu poecie naszemu... Nie poszedłem do niego. Należałem do tej zgrai, co wyprawiała „dzikie wrzaski” — nie na poetę, ale na towarzyszyka”. I oto w listopadzie 1855 r. „znalazłem się najbliższej osoby Mickiewicza... złożonej w trum-

nie. Ukłękłem przed nią”. Gdzie indziej u czciela, co nie podlegał wahaniom, u Artura Górskiego w gęstwinie metaforycznych, powikłanych, dźwiękowych niekiedy okresów „Monsalwatu” rozblyskują tu i ówdzie słoneczne polany myśli wprowadzonej z doświadczenia pokoleń: „Przeżywając radość i trudy jego żywota, rozwijamy siebie, bo zagadnienie życia Mickiewicza jest zagadnieniem każdego z nas.” Oczywiście stąd wniosek, że dzieła Mickiewicza, owoc jego życia, są kanonicznymi księgami narodu. To jedne ze „świątecznych ksiąg” ludzkości. Bezwidnie, bo co innego mając na widoku, ten honor oddał im Andrzej Niemojewski, gdy się korespondencyjnie wywnetzał przed Ludwikiem Gumpłowiczem: „Doszedłem do przerażających wniosków o tak zwanej filozofii Mickiewicza. Świątopogląd jego przypomina zupełnie świątopogląd Chrystusa”. Rzeczowy finał tej „historii wewnętrznej” Mickiewicza w każdym pokoleniu etanowi: „Uchwala powzięta na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej

ADAM MICKIEWICZ

Rozmowa wieczorna

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgrzyzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mym na krzyżu!

I każda dobra myśl, jak promień, wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc, znowu mię oziada,
Sle blask, blask biore i blask mam za gońca.
I każda dobra cnota chce Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczący na świecie.

Tyś Król, o cud! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włóczęga nowa,
Otwiera Twoje nie zgojone rany,
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych gębka zagniewana,
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu sprzedany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skórą,
Dobry zapłatak, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia;
Sędzio straszliwy! Tyś ogień rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozlaca obłokiem
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę, we lzy roztopiona.

w dniu 5 maja 1945 r. w sprawie Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza”.

Stanisław Pigoń przed trzydziestu z górą lat, w stulciec tomiku „Ballad i romanów”, gorzko rozważał bałamutność naszych wydań Mickiewiczkowskich: „w sło to lat wkrótce niemożliwość Mickiewicza w życie duchowe narodu nie posiadamy ani jednego, dosłownie: ani jednego wydania pisma, jakie przysłó temu poecie”. Wprawdzie 10 grudnia 1920 r. Sejm Ustawodawczy postanowił wydać sumptem Rzeczypospolitej wszystkie dzieła Mickiewicza w najdoskonalym kształcie, wprawdzie ukazały się niektóre istotnie monumentalne tomy „wydania sejmowego”, ale wojna położyła kres przedsięwzięciu. W jej zgiełku wspominało się nieraz jako ważkie przeżycie tom Rozmów Mickiewiczkowskich opracowany przez Stanisława Pigońa i niezwykłą majsterkę filologiczną odtworzone przez Jerzego Kowalskiego z rozproszonych szczytków wykłady lozańskie. Wy-

danie było piękne i jednocześnie zbyt luksusowe dla mnościwa prostych czcieli Mickiewicza, laknących jego tekstów autentycznych. W tych rózach nad podziw wypielęgnowanych wyciągnięta dłoń trafiała na kolce cen nadto wysokich. Przetoczyła się druga wojna światowa z warkotem czołgów i samolotów, minęły lata czarnej, krematorijnej okupacji. I oto co za tajemnicze współbrzmienie głosu pokoleń. Franciszek Malewski w grudniu 1931 r. zaklinał Mickiewicza na zgłiszca „ostatniej europejskiej rewolucji”, żeby nie dał się ponieść fali, która zatapia rozbitków: „Ty dziś, mój Adamie, jak Feniks (bo twój Nowogródek okropnie zgorzał) zrówny myśli ludzkie raz jeszcze ku tej skale, której bramy ludzkie nie przemożną”, Mickiewicz-Feniks i naród-Feniks (bo ich Warszawa okropnie zgorzała) wzniesli się z popiołów w tych oto słowach Uchwały: „Krajowa Rada Narodowa, przejmując nie zrealizowaną inicjatywę Sejmu Ustawodawczego 1920 roku w sprawie zbiorowego wydania dzieł Ada-

kim sądem o „kaligrafii” Mickiewicza. Otwieram pierwszy tom Wydania Narodowego. Szukam „Sonetów Krymskich”. Czytam... i jestem wściekły na Zana, że w tym zbiorze wszelkich doskonałości ośmielił się proponować jakies zmiany: „szpony niegustownie, wiem, co to być nie okrągłe, u rąk pierza śmiałość przyciemna, muzyka kwiatów za wczesnie, depcząc etc. za szorstko... Jestem bardziej za wyrazem granice światła jak szczeliny światła, za wyrazem harmonia kwiatów jak muzyka kwiatów”. Zastosujemy tę ostatnią z projektowanych zmian i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Wersja Mickiewicza:

Powietrze tchnące wonią, tą
muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym
dla ucha.
Po uwzględnieniu poprawki Zana
brzmiałoby to w ten sposób:
Powietrze tchnące wonią, tą
harmonią kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym
dla ucha.

Razi tutaj przykry właśnie „dla ucha” rym wewnętrzny, a wrażenie osłabia abstrakcyjność „harmonii” (zaraz się przypomina Pitagoras) w porównaniu z konkretnością „muzyki”. Zan jedynie teoretyzował. Bywali jednak ongiś tacy, co naprawę rzadzili się w tekstach poety wedle swego widzimisię. Szare gęsi na Parnasie. Czytało się wtedy urzynek znakomitej bajki Mickiewicza „Przyjaciele” tak spreparowany:

Ledwie Mieszkowi był czas
zmrzuczyć oczy,
Zbladańc, paść na twarz: a już
niezdawiać kroczy,
Trafia na czoło, maca, jak trup
leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już
nieświeży.

Wydawca mniemał, że nie przystość wymieniać powodu owej „nieświeżości”, poeta tym względem na „przyzwoitość” wcale się nie krępował. W rezultacie po odcytałiu fragmentu uzupełnionego czujemy się bardziej zgorzseni samowolną gospodarką wydawcy — i chcielibyśmy go trzepnąć porządnie po palcach — niż fizjologicznym realizmem poety:

Ledwie Mieszkowi był czas
zmrzuczyć oczy,
Zbladańc, paść na twarz: a już
niezdawiać kroczy.
Trafia na czoło, maca, jak trup
leży;
Wącha: a z tego zapachu,
który mógł być skutkiem strachu,
Wnosi, że to nieboszczyk i że już
nieświeży.

Na końcu tomiku Biblioteki Narodowej z „Panem Tadeuszem”, opracowanym przez Stanisława Pigońa czytelnik miał fotokopie paru rękopisów. Po rozłożeniu kartek mógł śledzić uparte dążenie Mickiewicza, aby pokonać opór słowa i wtargnąć do centrum polszczyzny. Takie zapasy ciągnęły się przez „ogromnych ksiąg dwanaście”. Trudno przeczozyć lekce rzetelności moralnej w tej lekcji rzetelności artystycznej. Dzieła Mickiewicza są okupione wszystkim, co jest w człowieku najcenniejsze. Wielkie uznanie należy się oświadczeniu Uchwały: „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym”.

Ale rad bym oglądał (i niewątpliwie całe społeczeństwo) jakichś kilka skromnych „typograficznie” kartek, często skrawków nierówno ciętych, na których liche z punktu widzenia „kaligrafii”, lecz jakże drogie sercu każdego Polaka własnoręczne pismo Adama Mickiewicza zmierzające mozolną drogą do piękna, które jest aere perennius.

Jedną z najbardziej uroczych przygód filologicznych jest sprawa historyjki „Golono, strzyżono”. Jej sarmacki pleń rodowy z grubszą ociosą Wacław Potocki:

Idący gdzieś mąż z żoną po ławie
przez wodę,
Ujrzą chłopca bez brody, co ongi
miał brodę.

Pod piórem Mickiewicza ta anegdota przedzierzgnęła się w arcydzieło humoru, tempa i plastyki. Rozkosz lektury psuło jednak czytelnikowi pewne niezgrabne porównanie mniej więcej w środku opowieści:

A wążiki ekonomia,
Odpowiada zaraz żona,
Co mu wiszą jak u sosny,
A blyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone?

Sosna z wążami? Jak to przypiął przyłatać? Stanisław Pigoń wycytał w rękopisie tam, gdzie w druku figuruje: „jak u sosny” — „jak u soma”, czyli suma. To co innego. Sum rzeczywiście ma wasy prawdziwie sumiaste. No i rymuje się z ekonomem. Ale rękopis jeszcze nie wydał swoich wszystkich tajemnic. Wacław Borowy, nabiedzwszy się nie miało z nieczytelnością jego pięciu linijek, których już z konieczności zaniechano, odcyfrował w nich rozmówkę Mazura ze swą żoną, rozmówkę tak potrzebną, żeby się anegdota trzymała, jak kłamra potrzebna do paska:

Przezież dobrze, suko miła,
Żeś tu jest, choć ogolona.
I jam rada, że wróciła,
Odpowiada na to żona —
Choć wróciła ostrzyżona.
Tak skompletowano tę zabawną i pouczającą (zwłaszcza dla kawalerów) historię o tajnikach przakroy nieświeżości.

W przedmnie holdu, którym cała ludzkość uczi poetę, trzeba za szczególnym skupieniem spojrzeć na Mickiewicza jako na tego, który był siugą narodu i jego duchowym wodzem, jako na tego, który ośmielił się widzieć sprawę polską w perspektywie internacjonalnej w związku ze sprawą wolności ludów, w związku ze sprawą ogólnoswiatowej rewolucji. Trzeba spojrzeć na Mickiewicza nie jako na wulkan wygasły, którego ogień wstrząsał jedynie minioną epoką, a dziś jest tylko zamarym kolosem i pamiętką dni, które przeszły, ale na Mickiewicza, jako na wulkan żywy, którego ogień nadal pali, którego gniew nadal wstrząsa. Trzeba spojrzeć na Mickiewicza, którego zrodził polski naród w dniach swej klęski, na Mickiewicza, którego poezją i czynem naród przeciw swojej klęsce protestował, na Mickiewicza, którego poezją i czynem naród walczył; trzeba spojrzeć na Mickiewicza, którego wielkość tenże naród, wówczas politycznie podeptany, podarował całemu światu, zmagającemu się heroicznie — wczoraj i dziś — o swoje sprawiedliwe, rewolucyjne jutro.

Nie wolno nam oddzielać poezji od czynu. Wielka poezja, ta, która swym rewolucyjnym pięknem dociera do serca każdego człowieka i służy mu swym ideologicznym dynamizmem — jest czynem. A praktyka społeczna poety o tym samym dynamizmie ideologicznym jest jej naturalną towarzyszką, jej przodownicą i kontynuatorką. Jest nadto społeczną poręką prawa poety do wodzowskiej służby przez urok poetycznego słowa. Tak właśnie rozumiał Mickiewicz związek poezji z czynem. Powie w liście do przyjaciela z roku 1842: „Czyż to nasza poezja ma być w książkach, a w nas ma zostać prozą, mamyż jak posąg Memnona głos wydawać o wschodzie, nie wiedzieć dlaczego? Kiedysmy martwi i nieruchomi. Mamyż obmalować życie dziełami pięknymi zewnątrz, a wewnątrz być grobami pełnymi kości spróchniałych. Czas, bracie, zrobić poezją! Tym tylko zwyciężymy wszystkich poetów, a o ile zrobim, o tyle tylko zdołamy zaśpiewać. Czy myślisz, że biedny Byron napisalby tyle wielkich strof, gdyby nie był gotów i lodostwo, i Londyn porzucić dla Greków? W tej to gotowości leżał sekret jego sily pisarskiej, którą inni poeci chcieli wykraść z jego księzek, a nie z jego duszy. Przed nami, Olesiu, większa sprawa niż grecka i większy świat niż przed Byronem, toteż nam trudniej wydobyc z siebie dosyć sily, a zniechęć jej nie dostaniem, tylko z siłą.” Wobec tych słów Mickiewicza — czy wolno mechanicznie oddzielać jego poezję od jego czynu, a jego czyn od jego poezji?

Jeśli poezja i czyn są w swoich fundamentach czynnie nierozdzielne — to nie tylko czyn, ale i poezja zaświadcza swoją wielkość sumą swojej treści historycznej, swoim głębokim związkiem z konkretną rzeczywistością, której dynamicznym przemianom służy przez swoją specyfikę — z niej wyrosły — artystym. Wielka poezja zawsze swoje soki żywotne czerpie z konkretnej rzeczywistości. Toteż kiedy przychodzi określić wielkość dzieła Mickiewicza — z jego właściwości na czoło wysunięmy tę, że dzieło to zawarło możliwie największą sumę ówczesnego życia historycznego, jego tendencji rozwojowych, i tę, że w kształcie piękna, które nie miało, odbiło dla nas konkretną rzeczywistość — w wielorakich postaciach i złożach — zarówno poprzez jej obraz, jak i sąd o niej. Powiemy o Mickiewiczu z głębokim przekonaniem, że jest jednym z największych realistów świata.

Jest realista w historycznych formach swojej epoki, a więc realista-romantykem. Oznacza to, że w tych czasach żrących i palących, w czasach bojowej poezji czynu nie odrzuca — z ciasnoty doktrynalnej, z ciasnoty jakiegos estetycznej zasady — jakiegokolwiek środka artystycznego wyrazu. Stąd tych środków przedziwne bogactwo i urzekająca różność, stąd uderzająca we wszystkie struny wrażliwości odbiorcy ich artystyczna współgra. Konkret rzeczywistości, czy nim będzie przyroda, czy sfera obyczajów i zwyczajów, czy sfera historycznych faktów i społecznego układu oraz przeżycie człowieka — zjawiać się będzie w poezji Mickiewicza raz bezpośrednim przedstawieniem, raz pośrednim za pomocą wielkiej metafory, zawsze uzasadnionej głębokim stosunkiem poety do jej treści.

CZY w największej poezji znajduje się wiele utworów, które uzyskały ten stopień wymowy prawdy i wymowy poezji przez zastosowanie najprostszego, ale i pisarsko najtrudniejszego środka artystycznego, jakim jest bezpośrednie przedstawienie konkretnej rzeczywistości, środka tak znamionego dla Mickiewicza? Co może się równać w prawdzie i poezji z obrazem rzeczywistości, w „Panu Tadeuszu”, przekazanym środkami gawędziarskiej relacji, tak prostej, że pozornie aż obcej sztuce? Bo zdawałoby się — a to właśnie jest wyrazem najwyższego uznania dla sztuki — że inaczej nie można powiedzieć o marudnym poranku przed burzą niż słowami:

I była chwila ciszy: i powietrze
stało
Głuche, milczące, jakby z trnogi
oniemiało.
I łany zbóż, co wpródy, kładąc
się na ziemi

Wielka skrupulatność naszych filologów, którzy pracują bezpośrednio nad Wydaniem Narodowym i tych, którzy jak Juliusz Kleiner, czas jakiś znajdując się poza tym ścisłym gronem, pieczołowicie obserwowali bieg poczynających edytorskich, powiedzmy otwarci, że wielka ich skrupulatność i to wielka miłość zarazem. Rozkosze oraz meki tej miłości zostały skondensowane w lapidarnych „dodatkach krytycznych”. Poznaliśmy tam w strzeszeniu losy poszczególnych utworów Mickiewicza, często nielitościwie oszczędnych przez niebałwaństwo wydawców, cenzurę, sowidralstwa drukarskie oraz inne okoliczności. To wszystko wyłożone jest ściśle i ekonomicznie ze względu na „pożyteczność” Wydania Narodowego, ale powiedzielibyśmy, że za ściśle i za ekonomicznie jak na ten właśnie cenzus czytelnicy. Notatki zbite niby materia zjonizowana, której niepozorna odrobina waży całe tony, są bezwarunkowo za ciężkie dla filologicznych profanów. W dodatku — nieinteresujące. Tymczasem historia tekstów Mickiewicza bywała pasjonująca. Filolog ubrojeny w „mędrca oko i szkiełko” wiazał się jednak z przedmiotem swych badań „czuciem i wiarą”. Cokolwiek dotyczy Mickiewicza nie umienie tej kombinacji „żywiolów” będących „w wojnie” i w końcu zawsze „miłość ogniem zionie”. Ona to przezież kanała Leonowi Płoszewskiemu pono-

się obzrymi trud filologiczny przy rewindykacji autentycznych tekstów paryskich wykładów Mickiewicza, ona to niby nie Ariadny wiodła Stanisława Pigońa przez labirynt drobiazgów, realiów, szczegółów, zestawień, aby doprowadzić do tekstu korespondencji bez skazy i zmyzy, ona to przewodniczyła subtelnej badawczosci Wacława Borowego nad każdą fałdą rymu i rytmem wierszy zebranych w pierwszym tomie, nad każdym ich zadrażnieniem i skazaniem.

I raptem „dodatki krytyczne” są tak protokolarne. Gdzie indziej — w rozprawach, wspomnieniach, recenzjach, sumariuszach własnych doświadczeń — nasi filologowie potrafią zachować w zdaniach, którym nikt nie odmówi naukowości, trzepotanie się szczerego uczucia. Tak pisał Juliusz Kleiner o epilogu „Pana Tadeusza” w „Nauce i sztuce”. Przeglądałem się jego filologicznej rekonstrukcji z zapalem, przypuściłbym, rzeźbiarza, który by w wyobraźni uzupełniał Wenus Miłoską. Sądzę, że niesłusznie tę rekonstrukcję logiczną i harmonijną zepchnięto do Uwag o tekście. Estetycznie bardziej ona zadawała szerokiego czytelnika niż tekst tradycyjny. Udziela mu bowiem pragnienia, które ożywia badacza, aby ten wiersz niezapomniany ujrzyć w wyrazie możliwie najwyższego ład. Oprócz bitew o większe całości filologiczne nasi pochyleni nad tekstami Mickiewicza znają bitwy o słowa, zwroty, o znaki przestankowe. W wydaniu Piotra Chmielowskiego, które było dla mnie objawieniem Mickiewicza, upajał swoją śpiewnością wiersz o tytule, jakiego chciałoby się dorobić niejedno medium spirytystyczne: „Kochanek duchów”. Trzeba przyznać, że od razu z pierwszej strofy wiała urocza tajemniczość:

Kochanek duchów, ileż was
spotkałem,
Ileż to oczu jak gwiazd
przeleciało,
Ileż to rączek tonąc uściskałem,
A serce nigdy z sercem nie
gadalo!

Stanisław Pigoń wiał pod lupę autograf tego wiersza i rozszyfrował go z owych „duchów”, wstawiając na ich miejsce „druhow” i oddzielając ich od „kochanek” (najwidoczniej w świecie rodzaju żeńskiego) przecinkiem. Mimo to pamiętam, że w jakimś wydaniu ten przecinek skasowano i otrzymaliśmy zestrojony taki: „kochanek druhow”. Mały przecinek a duża dwuznaczność sensu. Wydanie Narodowe zawiera następujący układ zacytowanej strofy: Kochanek, druhow! ileż was spotkałem! Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało! A serce? nigdy z sercem nie gadalo!

Tonacja o całe niebo bogatsza, muzyka wierszy pełniejsza. Tyle sprawiło jedno małe słówko, pięć wykrzykników i znak zapytania. Aha, z okazji drobiazgów. W Objaśnieniach wydawcy do tomu szóstego (str. 218) znajduje taki werset: „Mickiewicz osiadł wśród emigracji paryskiej w sierpniu r. 1832”. Proszę jednak wiać do rąk Juliusza Słowackiego tom listów do matki (Ossolineum t. XI str. 78); pod datą 31 lipca 1832 r. jest zamieszczona informacja: „Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża, ale nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze”. Dreżcy mnie teraz wątpliwość: „czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?” Ma się rozumieć to jedynie wątpliwość, nie zarzut.

Wielka skrupulatność naszych filologów, którzy pracują bezpośrednio nad Wydaniem Narodowym i tych, którzy jak Juliusz Kleiner, czas jakiś znajdując się poza tym ścisłym gronem, pieczołowicie obserwowali bieg poczynających edytorskich, powiedzmy otwarci, że wielka ich skrupulatność i to wielka miłość zarazem. Rozkosze oraz meki tej miłości zostały skondensowane w lapidarnych „dodatkach krytycznych”. Poznaliśmy tam w strzeszeniu losy poszczególnych utworów Mickiewicza, często nielitościwie oszczędnych przez niebałwaństwo wydawców, cenzurę, sowidralstwa drukarskie oraz inne okoliczności. To wszystko wyłożone jest ściśle i ekonomicznie ze względu na „pożyteczność” Wydania Narodowego, ale powiedzielibyśmy, że za ściśle i za ekonomicznie jak na ten właśnie cenzus czytelnicy. Notatki zbite niby materia zjonizowana, której niepozorna odrobina waży całe tony, są bezwarunkowo za ciężkie dla filologicznych profanów. W dodatku — nieinteresujące. Tymczasem historia tekstów Mickiewicza bywała pasjonująca. Filolog ubrojeny w „mędrca oko i szkiełko” wiazał się jednak z przedmiotem swych badań „czuciem i wiarą”. Cokolwiek dotyczy Mickiewicza nie umienie tej kombinacji „żywiolów” będących „w wojnie” i w końcu zawsze „miłość ogniem zionie”. Ona to przezież kanała Leonowi Płoszewskiemu pono-

się obzrymi trud filologiczny przy rewindykacji autentycznych tekstów paryskich wykładów Mickiewicza, ona to niby nie Ariadny wiodła Stanisława Pigońa przez labirynt drobiazgów, realiów, szczegółów, zestawień, aby doprowadzić do tekstu korespondencji bez skazy i zmyzy, ona to przewodniczyła subtelnej badawczosci Wacława Borowego nad każdą fałdą rymu i rytmem wierszy zebranych w pierwszym tomie, nad każdym ich zadrażnieniem i skazaniem.

I raptem „dodatki krytyczne” są tak protokolarne. Gdzie indziej — w rozprawach, wspomnieniach, recenzjach, sumariuszach własnych doświadczeń — nasi filologowie potrafią zachować w zdaniach, którym nikt nie odmówi naukowości, trzepotanie się szczerego uczucia. Tak pisał Juliusz Kleiner o epilogu „Pana Tadeusza” w „Nauce i sztuce”. Przeglądałem się jego filologicznej rekonstrukcji z zapalem, przypuściłbym, rzeźbiarza, który by w wyobraźni uzupełniał Wenus Miłoską. Sądzę, że niesłusznie tę rekonstrukcję logiczną i harmonijną zepchnięto do Uwag o tekście. Estetycznie bardziej ona zadawała szerokiego czytelnika niż tekst tradycyjny. Udziela mu bowiem pragnienia, które ożywia badacza, aby ten wiersz niezapomniany ujrzyć w wyrazie możliwie najwyższego ład. Oprócz bitew o większe całości filologiczne nasi pochyleni nad tekstami Mickiewicza znają bitwy o słowa, zwroty, o znaki przestankowe. W wydaniu Piotra Chmielowskiego, które było dla mnie objawieniem Mickiewicza, upajał swoją śpiewnością wiersz o tytule, jakiego chciałoby się dorobić niejedno medium spirytystyczne: „Kochanek duchów”. Trzeba przyznać, że od razu z pierwszej strofy wiała urocza tajemniczość:

Kochanek duchów, ileż was
spotkałem,
Ileż to oczu jak gwiazd
przeleciało,
Ileż to rączek tonąc uściskałem,
A serce nigdy z sercem nie
gadalo!

Stanisław Pigoń wiał pod lupę autograf tego wiersza i rozszyfrował go z owych „duchów”, wstawiając na ich miejsce „druhow” i oddzielając ich od „kochanek” (najwidoczniej w świecie rodzaju żeńskiego) przecinkiem. Mimo to pamiętam, że w jakimś wydaniu ten przecinek skasowano i otrzymaliśmy zestrojony taki: „kochanek druhow”. Mały przecinek a duża dwuznaczność sensu. Wydanie Narodowe zawiera następujący układ zacytowanej strofy: Kochanek, druhow! ileż was spotkałem! Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało! A serce? nigdy z sercem nie gadalo!

Tonacja o całe niebo bogatsza, muzyka wierszy pełniejsza. Tyle sprawiło jedno małe słówko, pięć wykrzykników i znak zapytania. Aha, z okazji drobiazgów. W Objaśnieniach wydawcy do tomu szóstego (str. 218) znajduje taki werset: „Mickiewicz osiadł wśród emigracji paryskiej w sierpniu r. 1832”. Proszę jednak wiać do rąk Juliusza Słowackiego tom listów do matki (Ossolineum t. XI str. 78); pod datą 31 lipca 1832 r. jest zamieszczona informacja: „Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża, ale nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze”. Dreżcy mnie teraz wątpliwość: „czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?” Ma się rozumieć to jedynie wątpliwość, nie zarzut.

Wielka skrupulatność naszych filologów, którzy pracują bezpośrednio nad Wydaniem Narodowym i tych, którzy jak Juliusz Kleiner, czas jakiś znajdując się poza tym ścisłym gronem, pieczołowicie obserwowali bieg poczynających edytorskich, powiedzmy otwarci, że wielka ich skrupulatność i to wielka miłość zarazem. Rozkosze oraz meki tej miłości zostały skondensowane w lapidarnych „dodatkach krytycznych”. Poznaliśmy tam w strzeszeniu losy poszczególnych utworów Mickiewicza, często nielitościwie oszczędnych przez niebałwaństwo wydawców, cenzurę, sowidralstwa drukarskie oraz inne okoliczności. To wszystko wyłożone jest ściśle i ekonomicznie ze względu na „pożyteczność” Wydania Narodowego, ale powiedzielibyśmy, że za ściśle i za ekonomicznie jak na ten właśnie cenzus czytelnicy. Notatki zbite niby materia zjonizowana, której niepozorna odrobina waży całe tony, są bezwarunkowo za ciężkie dla filologicznych profanów. W dodatku — nieinteresujące. Tymczasem historia tekstów Mickiewicza bywała pasjonująca. Filolog ubrojeny w „mędrca oko i szkiełko” wiazał się jednak z przedmiotem swych badań „czuciem i wiarą”. Cokolwiek dotyczy Mickiewicza nie umienie tej kombinacji „żywiolów” będących „w wojnie” i w końcu zawsze „miłość ogniem zionie”. Ona to przezież kanała Leonowi Płoszewskiemu pono-

W przedmnie holdu, którym cała ludzkość uczi poetę, trzeba za szczególnym skupieniem spojrzeć na Mickiewicza jako na tego, który był siugą narodu i jego duchowym wodzem, jako na tego, który ośmielił się widzieć sprawę polską w perspektywie internacjonalnej w związku ze sprawą wolności ludów, w związku ze sprawą ogólnoswiatowej rewolucji. Trzeba spojrzeć na Mickiewicza nie jako na wulkan wygasły, którego ogień wstrząsał jedynie minioną epoką, a dziś jest tylko zamarym kolosem i pamiętką dni, które przeszły, ale na Mickiewicza, jako na wulkan żywy, którego ogień nadal pali, którego gniew nadal wstrząsa. Trzeba spojrzeć na Mickiewicza, którego zrodził polski naród w dniach swej klęski, na Mickiewicza, którego poezją i czynem naród przeciw swojej klęsce protestował, na Mickiewicza, którego poezją i czynem naród walczył; trzeba spojrzeć na Mickiewicza, którego wielkość tenże naród, wówczas politycznie podeptany, podarował całemu światu, zmagającemu się heroicznie — wczoraj i dziś — o swoje sprawiedliwe, rewolucyjne jutro.

Nie wolno nam oddzielać poezji od czynu. Wielka poezja, ta, która swym rewolucyjnym pięknem dociera do serca każdego człowieka i służy mu swym ideologicznym dynamizmem — jest czynem. A praktyka społeczna poety o tym samym dynamizmie ideologicznym jest jej naturalną towarzyszką, jej przodownicą i kontynuatorką. Jest nadto społeczną poręką prawa poety do wodzowskiej służby przez urok poetycznego słowa. Tak właśnie rozumiał Mickiewicz związek poezji z czynem. Powie w liście do przyjaciela z roku 1842: „Czyż to nasza poezja ma być w książkach, a w nas ma zostać prozą, mamyż jak posąg Memnona głos wydawać o wschodzie, nie wiedzieć dlaczego? Kiedysmy martwi i nieruchomi. Mamyż obmalować życie dziełami pięknymi zewnątrz, a wewnątrz być grobami pełnymi kości spróchniałych. Czas, bracie, zrobić poezją! Tym tylko zwyciężymy wszystkich poetów, a o ile zrobim, o tyle tylko zdołamy zaśpiewać. Czy myślisz, że biedny Byron napisalby tyle wielkich strof, gdyby nie był gotów i lodostwo, i Londyn porzucić dla Greków? W tej to gotowości leżał sekret jego sily pisarskiej, którą inni poeci chcieli wykraść z jego księzek, a nie z jego duszy. Przed nami, Olesiu, większa sprawa niż grecka i większy świat niż przed Byronem, toteż nam trudniej wydobyc z siebie dosyć sily, a zniechęć jej nie dostaniem, tylko z siłą.” Wobec tych słów Mickiewicza — czy wolno mechanicznie oddzielać jego poezję od jego czynu, a jego czyn od jego poezji?

Jeśli poezja i czyn są w swoich fundamentach czynnie nierozdzielne — to nie tylko czyn, ale i poezja zaświadcza swoją wielkość sumą swojej treści historycznej, swoim głębokim związkiem z konkretną rzeczywistością, której dynamicznym przemianom służy przez swoją specyfikę — z niej wyrosły — artystym. Wielka poezja zawsze swoje soki żywotne czerpie z konkretnej rzeczywistości. Toteż kiedy przychodzi określić wielkość dzieła Mickiewicza — z jego właściwości na czoło wysunięmy tę, że dzieło to zawarło możliwie największą sumę ówczesnego życia historycznego, jego tendencji rozwojowych, i tę, że w kształcie piękna, które nie miało, odbiło dla nas konkretną rzeczywistość — w wielorakich postaciach i złożach — zarówno poprzez jej obraz, jak i sąd o niej. Powiemy o Mickiewiczu z głębokim przekonaniem, że jest jednym z największych realistów świata.

Jest realista w historycznych formach swojej epoki, a więc realista-romantykem. Oznacza to, że w tych czasach żrących i palących, w czasach bojowej poezji czynu nie odrzuca — z ciasnoty doktrynalnej, z ciasnoty jakiegos estetycznej zasady — jakiegokolwiek środka artystycznego wyrazu. Stąd tych środków przedziwne bogactwo i urzekająca różność, stąd uderzająca we wszystkie struny wrażliwości odbiorcy ich artystyczna współgra. Konkret rzeczywistości, czy nim będzie przyroda, czy sfera obyczajów i zwyczajów, czy sfera historycznych faktów i społecznego układu oraz przeżycie człowieka — zjawiać się będzie w po

MICKIEWICZ

Stefania Skwarczyńska

I znou w górę trzęsak kłosa mi
Wrzaly jak fale, teraz stoją
I poglądają w niebo, najeżywszy
stomę.

Bezpośrednie środki przedstawienia w odniesieniu do historycznej rzeczywistości święcą szczególnie swoje triumfy w licznych partiach „Części III Dziadów” i w epickim „Ustępie”. Kto przed Mickiewiczem odważył się pokazać w dramacie z tą dobitnością współczesne wypadki bez maski i żywych ludzi pod niezmiennymi imionami w scenie tak prostej, a równocześnie tak nasyconej poezją, jak scena w wizerunku, jak opowiadanie Adolfa? Język Mickiewicza nie ucieka od potocznych słów, dotąd bez pełnego prawa obywatelstwa w poezji; pióro nie zawaha się przed realistycznym szczegółem, który nie rozbije całości, lecz stanie się elementem wielkiej realistycznej syntezy, takiej syntezy, która zebrana em ryśw typowych będzie mówić przez wielki nie tylko o przeszłodziawaniu Filaretów, ale o współczesnym przesładowaniu patriotycznej młodzieży niemieckiej, włoskiej, i która raz na zawsze zawarze w sobie potępiający sąd o despotyzmie w czasach świętego Przymiera. Dowymy się o nieszczęśliwym Cichowskim, że:

Przyznać się uzbrań
I że dotąd nie złożył żadnego
wyznania;
Ze mu przez wiele nocy spać nie
dozwalano,
Ze karmiono śledziami i pić nie
dawano...

Najprostszym, bezpośrednim sposobem przedstawienia szczególnie służy dynamizm poetyckiego wyrazu u Mickiewicza wtedy, gdy idzie o przedstawienie krzywdy prostego człowieka i o sąd nad nieludzkim wyżyskiem w ustroju feudalnym. Niesposób zapomnieć ujętego w codzienne potoczne słowa, w prosty styl narracyjny obrazu tego chłopca, ordynansa, który na paradzie wojskowej zamarł na placu, zapomniany przez swego pana, trzymający w ręku pańską szubę.

Siedział na wielkim futrze swego
pana,
Tu zostawiony, tu rozkazu czekał,
I zmarł, i śniegu już miał za
kolana.

Tu go pies wierny znalazł
i oszczekał. —
Zmarznął, a w futro nie okrył się
cieple;
Jedna łrenica śniegiem zasypana,
Lecz drugie oko otwarte, choć
skrzepła,
Na plac obrócił: czekał stamtąd
pana!

Pan kazał siedzieć i sługa
usiądzcie;
Kazał nie ruszać z miejsca, on
nie ruszy,
I nie powstanie — aż na
straszny sądzie;
I dotąd wierny panu, choć bez
duszy,
Bo dotąd ręką trzyma pańską
szubę.

Pilnując, żeby jej nie ukradziono;
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć
w tonie,
Lecz już nie weszły pod płaszcz
palce grube.
I pan go dotąd nie szukał, nie
pytał!

I ta sama prostota najwykleszego słowa, gdy przyjdzie podsumować sąd o tej sprawie:
O biedny chłopie! heroizm,
śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi
grechem.
Jak cię nagrodzą? Pan powie
z usmiechem,
Ześ był do zgonu wierny — jak
sobaka.

I równie prosty wniosek z analizy ukazanej rzeczywistości i jej nieuchronnych rozwojowych tendencji:
Lecz skoro słońce swobody
zabył się
I wiatr zachodni ogrzeje te
państwa,
I cóż się stanie z kaskadą
tyranstwa?

Od tej bezpośredniości słowa i obrazu w wielkiej Mickiewiczowskiej poezji — tylko jeden krok do grzmienia przez swą prostotę sformułowań Mickiewicza-publicysty z wyzwn „Trybuny Ludów”. Wzbożacy doświadczeniem Wiosny Ludów i swego w niej udziału, ugruntowany w tych przekonaniach, którym dał wyraz w „Składzie zasad”, z nich czyniąc sztandar swego legionu, Mickiewicz będzie teraz mówić mocno o braterstwie ludów w rewolucyjnej walce przeciw feudalizmowi. Niewielki jest dystans w prostocie między sformułowaniami najbardziej ważkich sądów w „Ustępie „Dziadów” a sformulowaniami w „Trybunie”. To krok historii zmienił tylko w ustach Mickiewicza retoryczny pytank w zdaniu o „swobodzie, która zwali kaskadę tyranstwa” na ton asertywny stwierdzenia: „Stare społeczeństwo i uszyscy jego przedstawiciele, choć nie pojęli znaczenia słowa socjalizm, wyczytali w nim swój wyrok śmierci.”

RODKI bezpośredniego przekazu dla realistycznego przedstawienia rzeczywistości i sądu o niej, środki, którymi Mickiewicz posługuje się z maestrią, jakiej przed nim nie znała poezja — idą w parze w jego dziele z najbardziej bogatymi środkami wyrazu pośredniego, z przeróżnej formy

wielką metaforą. Legitymacją wielkiej metafory wobec realizmu jest zawsze uzasadnienie jej głębokim stosunkiem poety do jej treści. Ten głęboki stosunek do treści wielkiej metafory, zaangażowanej w przedstawienie rzeczywistości i sąd o niej, odnajdziemy u Mickiewicza zawsze, czy w grę wchodzi wielka metafora fantastyczna, historyczna czy religijna.

Metaforą fantastyczną przemówi Mickiewicz-realista w „Balladach i romansach” i w „Dziadach” wileńsko-kowieńskich. Głęboki stosunek do jej treści wyrazi się tym, że nie jest ona nigdy u Mickiewicza wysnuta li tylko z własnej wyobraźni, jak czynił to często wsteczny romantyzm, ani ślepo przejęta z cudzych dzieł. Jej treść wyrasta z wierzeń ludowych, z twórczości ludowej rodzimych stron. Coraz bardziej pogłębiający się stosunek młodego Mickiewicza do ludu, do jego kultury, do jego społecznej roli w czasach pańszczyznianych — wytęcza linię radykalizacji Mickiewicza, a tym samym linię rozwojową stosunku poety do fantastycznej metafory od pierwszych ballad i zawiązanej sceny „Dziadów” — po „Romantyczność” i „Dziadów część IV”. Jeśli Mickiewicz początkowo z zacięciem racjonalistycznym-etnograficznym wnikną w głębszy sens ludowych obyczajów, jeśli z wrażliwością poety dostrzeżać piękno kultury ludowej, jeśli z pozycji oświeconego humanitaryzmu współczuje doli chłopca — to niebawem staje na pozycjach praw ludu i — sam włączając się duchowo w jego szeregi — z jego pozycji przeprowadzi swoją krytykę współczesnego układu sił społecznych. W artystycznej konsekwencji Mickiewicz, który początkowo sięgał po fantastykę ludową dla metafory i za jej pośrednictwem mówił tonem polubawnym o istotnych wartościach moralnych, o heroizmie, o krzywdzie i jej cudownym wyrównaniu czy to w swojej „Switezii” i „Switeziance”, czy w swojej „Rybcy” i „Liliach” — z czasem, doszedłszy do „Romantyczności” do sprzymierzenia się z ludem, mógł już poprzez ludową fantastykę metafory uderzyć w dawnych swych bogów, w mędrców ze szkieletem w oku, a niebawem potem w „Dziadach części IV”, znalazłszy się w jednym obozie z pokrzywdzonym społecznie ludem, zyskał moralne prawo poetyckie do wypowiedziania swoich osobistych, bolesnych doświadczeń kształtem fantastyki, podpisanej wierzeniami ludu. Taka jest droga od gorzkiej skargi w zawiązku Dziadów: „Nie miałeś miłości, Panie” — do buntu o sensie klasowym, do buntu zamaskowanego literacko szalenstwem Gustawa: „Błyskotkę niosę dla junszych panów”. Błyskotkę — sztylet. Równoległa i podobna w rozwoju jest droga Mickiewicza od metafory o treści przejętej, acz szczerze, ale jednak z zewnątrz, niekiedy nawet stylizowanej — po metaforę, w której — bez cienia stylizacji — będzie sam poeta krwawił swoją krwią najserdeczniejszą z piersi ludowego upiura w zaduszkową noc dziadów.

Podobnie głęboki i coraz bardziej pogłębiający się stosunek do treści wielkiej metafory zaobserwujemy u Mickiewicza na gruncie jego metafory historycznej. Jej treść wyrastająca z ukochania historii ojczyzny z dzieł Litwy zyskuje z biegiem czasu zdolność do wyrażania coraz szerszych i trudniejszych spraw, spraw aktualnych, a to w miarę jak historyczna barwność odśladania Mickiewiczowi pod swoją powłoką konflikty historyczne, walkę rozżarzoną do białości.

Jeszcze tylko zewnętrzna, powierzchniowa w swych treściach jest historyczna metafora „Zywił”; nie pogłębia jej język archaiczny, którym posłużył się poeta. Wystarczy jednak jako środek przekazu dla bardzo jeszcze wąsko ujętej współczesnej rzeczywistości i dla postulatów patrioty, sformulowanych na jej marginesie; idzie poecie o gloryfikację oporu i wytrwania za wszelką cenę w dobie narodowej prostracji. Gdy głębsze opanowanie poznawcze współczesnej rzeczywistości ukaże Mickiewiczowi w polskim społeczeństwie dwa obozy — oboz oportunistycznej zgody na los polityczny Polski i oboz patriotycznego protestu — poeta zechce powiedzieć, że obowiązek Polaka jest obowiązek heroicznej walki. Rzuci hasło walki apoteozą „Grażyny”, za pośrednictwem wielkiej metafory historycznej; jej treść, zaczerpnięta z historycznych legend ukochanego kraju, ujął poprzez zasadniczy konflikt historyczny — walkę z krzyżactwem. Po tę samą jej treść sięgnął raz jeszcze dla swojej wielkiej metafory w „Konradzie Wallenrodzie”, aby tym razem, w oparciu o konkretną wiedzę historyczną, bez mitycznych uproszczeń, przekazać ją, a zarazem ostrzec nią przed okiem cenzury swój stosunek do sprawy narodowej, określony postawą szlacheckiego rewolucjonizmu.

RODKI realistycznej i rzetelny stosunek Mickiewicza do treści historycznej własnej wielkiej metafory, podobnie jak i do jej treści fantastycznej, zażywany jest faktem jego żywej, rozwojowej zmienności, która sprawia że wielka metafora u naszego po-

ety staje się jako środek artystycznego przekazu i wyrazu coraz pojmniejsza, coraz bardziej w swej poetyckiej argumentacji nieodparta. Coraz lepiej służył treściom, które osłania i które przekazuje, coraz lepiej oręduje ich ideowej wymowie. Taki sam godny realisty głęboki i rzetelny stosunek Mickiewicza do treści metafory ujawnia się w jego wielkiej metaforze o charakterze religijnym. Nij jest opanowana pokaźna partia „Część III Dziadów”. Z przekonaniowego stosunku do jej treści zaczerpnął Mickiewicz poetyckie prawo i artystyczną rację widzialnego — boć to dramat — zetknięcia w swoim utworze współczesnej historii ze światem nadprzyrodzonym. I jeśli bez sankcji tegoż świata wyrok potępiający tyranizm feudalizmu znalazłby drogę do poglądów i sumień współczesnych, to dla prekursorskiego przeprowadzenia krytyki obozu rewolucjonizmu szlacheckiego musiał Mickiewicz po nią sięgnąć, skoro pisał nie dla potomnych, lecz dla współczesnych; bez niej znikoma byłaby szansa przekonania o słuszności tejże krytyki rozżalonych bezskutecznością heroizmu powstańców-emigrantów.

Mickiewicz, wielki realista, świadomy, że warunki historyczno-świa-

głównych bohaterów sceny wziętynęj, który — siłą wciągnięty w carską służbę — umiał się oprzeć zmośkwiczeniu. Ukazał ją w migawkowej sylwetce ruskiego żołnierza, co to wedle opowiadania Sobolewskiego do skatowanego chłopca
..... Przeszedł, podjął
z ziemi cieką,
Niósł w kibitkę na rękę, ale ręką drugą

Tajemnie lzy ocierał...
To jeden z tych „cichych, małych ludzi”, którzy obejmą dziedzictwo i dźwierz będą „berło”, jak już dawniej zapowiedział Mickiewicz. Prostej człowieka apoteozuje Mickiewicz w postaci ks. Piotra, obdarzając go mocą, widzeniem przyszłości, otaczając gołorią słów anielskich. Niebawem pada on rękę emisariuszowi w mniszym kapturze, który zerwał ze swoją klasą, ks. Robakowi, jedynej właściwie heroicznej postaci w narodowej epepie, w „Panu Tadeuszu”.

DZIEKI temu, że Mickiewicz, realist-romantyk, nie przebrał doktrynalnie w środkach artystycznego wyrazu, że każdy z nich był mu dobry, jeśli był zdolny celnie rzeczywistość przekazać widzcy, sercu, sumieniu odbiorcy i we właściwym kierunku



dowiskowe krystalizują znamienne cechy postawy człowieka — scharakteryzował reprezentatywnie psychę Konrada tytaniczne porwy szlacheckich rewolucjonistów, odosobnionych — z racji nierozwiązania kwestii społecznej — od mas ludowych. Depczą zaś Konradową pychę wydał wyrok na ograniczenie klasowe obozu rewolucjonizmu szlacheckiego, ujawnił przyczyny klęski powstaniowej — wreszcie jawnie przepowiedział samokrytykę, wyposażając swego bohatera w rysy autobiograficzne. Sprawę przeprowadził przez dwie instancje. W pierwszej, głosem ludu, wypowiedział się historia. W tzw. małej improwizacji postawił Konrada przed oskarżycielską potęgą krukka, maski ludu, tej samej maski, w którą ubrał w „Części II Dziadów” przedstawiciela ludu, kazał mu być wyrazem jego krzywdy i gniewnym narzędziem sprawiedliwej kary. Dopiero pokonanego wzrokiem krukka-ludu, dopiero odartego tym wzrokiem ze złudzeń siły i ze złudzeń, że do niego należy widzenie przyszłości — zawiół Mickiewicz swego Konrada przed trybunał Boski; tutaj wypowiedział sąd o jego pysze oddanemu go w ręce szatanów, od których za interwencją prostaczka, ks. Piotra, ratuje go jako jednostkę — z racji tego, że wiele kochał — Boże miłosierdzie, ogłoszone przez chór aniołów. Krytycyzm Mickiewicza wobec szlacheckiego rewolucjonizmu nabrał tutaj dzięki dynamizmowi wielkiej metafory religijnej ostrości potępiającego wyroku.

Dla ukazania ludu, a ściślej: ludów, jako nowej siły historycznej, dla ukazania jego wartości z różnych perspektyw — zmobilizował Mickiewicz wszelkie środki artystycznego wyrazu. Lud to nie tylko wielka siła, która pokona osamotnionego Konrada osadzającego go wzrokiem potężnego krukka, co to:

..... powstał i roztacza pióra
Zasłania wszystkich.....
Skrzydła ma czarne jak burzliwa
chmura,
A szerokie i długie na kształt
tęczy łuku.

To siła dobra. Określi ją poczucie godności, sprawiedliwości ludzkiej, dobroci prostego człowieka. Ukaże to Mickiewicz wymową dwójjakich środków: środków przedstawienia bezpośredniego i pośredniego, które zwiążą się i złączą służąc wspólnie jednemu celowi. Wartość prostego człowieka ukaże Mickiewicz w postaci kaprała, jednego z

Po chłodniku szły raki, kurczęta,
szparagi,
W towarzystwie kielichów,
węgryna, malagi;
Jedzą, piją, a milczą uszyscy...
Odnajdziemy w poezji Mickiewicza komizm rzeczywistości, raz kanciasty, wycięty kozikiem złośliwej satyry, kozikiem, który wyostrzył przy terminatorce u Voltaire'a, raz opłynięty pobłażliwym humorem, jak wtedy gdy trzeba było pokazać pana Sedziego, co to negował styl gotycki zamku, twierdząc, że architekt „z Wilna był rodem, nie zaś Gotem”, lub wtedy gdy dla podbudowania tezy w bajce, że „świat na tchórzach stoi” trzeba się było zająć perypetiami zająca, z tchórzostwa zdecydowanego na śmierć samobójczą, który zęna świat odą do „kochanek młodości, kapusty i rzepki.”

REALIZM Mickiewicza, jak realizm najznakomitszych romantyków, tym był potężny, że w pole swego widzenia zagarniał możliwie największą pełnię rzeczywistości. Nie eliminował z poezji niczego i nikogo, a więc i samego poety, w przeciwieństwie do późniejszego mieszczańskiego tzw. obiektywnego realizmu. Nasz poeta w całej swojej konkretnej prawdzie ludzkiej jest w swojej poezji. Jest w niej jako pryzmat załamujący w jednostkowym, konkretnym doświadczeniu otaczającą go rzeczywistość, i jest w niej jako równouprawniona z innymi jej cząstką.

W pryzmacie lez wygnańcy odbija się majestatyczne piękno Krymu.
Wpłynąłem na suchego przestwór
oceanu,
Wóz nurza się w zieloności i jak
łódka brodzi
Stójmy! — jak cicho! — słyszę
ciągnące żorawie,
Których by nie doścignęły żrenice
sokoła;
Słysz, kędy się motyl kołysa na
trawie,
Kędy wąż śliską pierśią dotyka
się ziola.
W takiej ciszy — tak ucho
natężam ciekawie,
Ze słyszałbym głos z Litwy. —
Jedźmy, nikt nie woła!
Jako cząstka obiektywny rzeczywistości wejdzie poeta do swojej poezji z ludzką prawdą, z całą paścią swojej miłości, swego bólu, swego gniewu, które — jakżeż to ludzkie, arcyduskie — kłębią się często razem, nieraz te same słowa mając na swoje usługi.

Precz z moich oczu! Postucham
od razu —
Precz z mego serca! I serce
postucha,
Precz z mej pamięci! Nie — tego
rozkażu
Moja i twoja pamięć nie postucha.
Jak cię tym dłuższy, gdy padnie
z daleka,
Tym szerzej koto żalobne
roztoczy —
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tym grubszym kirem twą pamięć
pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej
dobie,
Gdzie z tobą płakał, gdzie się
z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy
tobie,
Bom wszędzie cząstką mej duszy
został.
Wejdzie Mickiewicz do swojej poezji wraz z rozterką swego sumienia i wraz z niepokojem wahań, z entuzjazmem i gorczyca i w proczym ręk załamaniu pod adresem powstania, jak w wierszu do matki Polki.

JESLI jednak Mickiewicz, prawem realizmu, wchodzi do swojej poezji wraz z całą rozmaitością swych doświadczeń i doznań, to nigdy nie jest on w treści swych doznań i doświadczeń wyizolowany od całej rzeczywistości, nigdy nie jest samotna cząstka świata. Jego „ja” niesie ludzką społeczną typowość przeżycia, określona oczywiście indywidualnie; de facto jego „ja” reprezentuje zawsze społeczne „my”. Nie musi poeta zawsze posługiwać się bezpośrednim wyrazem tego „my”, jak czyni to w „Odzie do młodości”, w „Pieśni Filaretów”. Dojrzałość Mickiewicza-artysty osiągnie swój szczyt, gdy w najbardziej osobistym wyznaniu lirycznym zamknie uderzenie serca całego swojego pokolenia. Czy istnieje w lirycie świata wiersz, który w bardziej zwartej formie zmieszczyłby ból, lż, świadomość klęski, pamięć dni słonecznych i dni heroicznych całego pokolenia, tak jak zmieszczył je wiersz „Polaty się lzy me czyste, rzęsiście”? Też zamknięty jest w nim genialnym skrótem cały szmat polskiej historii, do której jest on lirycznym kluczem.

Polaty się lzy me czyste, rzęsiście,
Na me dzieciństwo sielskie,
anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek kłęski:
Polaty się lzy me czyste,
rzęsiście...
Zaiste: „karta ta wieki będzie
płakała — i też jej stanie.”

Kto w sposób właściwy rozszerzy Mickiewiczowskie „ja”, zawsze społecznie reprezentatywne, do wymiarów konkretnej grupy społecznej i spojrzyc jej w oczy historyczne, ten w bólu osobistych wspom-

nień poety — osobistych i nieosobistych — po ludzku zrozumie warunki, w których legły się nawet tak trudne dla naszego pojęcia błędy i omamienność, agresywna wobec największych w narodzie, takich jak Mickiewicz, Slowacki, Gośwarczyński...

Gdy tu mój trup w pośrodku was
zasiada,
W oczy zagłada wam i głośno
gada,
Dusza w ten czas daleka, ach
daleka,
Błąka się i narzeka, ach, narzeka.
Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli
mojej,
I liczne mam serca mego
rodzeństwa;
Piękniejszy kraj, niż ten, co
w oczach stoi,
Rodzina miłsza niż całe
pokrewieństwo.
Tam, wpośród prac i trosk,
i wśród zabawy,
Uciekam ja. Tam siedzę pod
jodłami,
Tam leżę śród bujnej i wonnej
trawy,
Tam pędzę za wróblami,
motylami.
Tam widzę ją, jak z ganku biała
stąpa,
Jak ku nam w las śród łyk
zielonych leci,
I wpośród zbóż jak w toni wód
się kąpa,
I ku nam z gór jako jutrzienka
świeci.

Ale owo liryczne „my” Mickiewicza zyskuje prawo obywatelstwa nie tylko w lirycie. Wtarga — wbrew dotychczasowej tradycji — do eposu. Doświadczenia i doznania lirycznego podmiotu, który tu, w eposie, w „Panu Tadeuszu”, jest nie tylko załamującym obiektywną rzeczywistość pryzmatem, ale i cząstką przedstawianego świata — zmienią tradycyjny charakter epepe. Obecność w niej lirycznego podmiotu sprawia, że poemat staje się nam jako osobiste własny, że posag marmurowy ożywa, nagina się do nas, że poczyna w nim bić nasze serce.

Któż z nas tych lat nie pomni,
gdy młode pachole,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc
szedł na pole...

I znów wobec narzuconej nam przez poetę żywej obecności podmiotu lirycznego w eposie, ugięci pod ciężarem doznań całego pokolenia, które on wyraża — zatracaemy i do poety, i do całego pokolenia żal nawet za błąd myślenia politycznego. Zaczynamy rozumieć poetę i nie tylko jego samego — urzeczzonego na zawsze ideą napoleońską, brudzącą w niejednej jego późniejszej myśli rewolucyjnej, w niejednym poczynaniu. Cóż bowiem możemy powiedzieć na pijany nadzieją obraz polskich pułków ciągnących pamiętną wiosną na Moskwę u boku Napoleona, skoro zamknie go nam Mickiewicz westchnieniem całego pokolenia, ciężkim jak wieko trumny:

Urodzony w niewoli, okuty
w powiciu
Ja tylko jedną taką wiosnę
miałem w życiu.

Cóż możemy powiedzieć na pozornie cianą, może nawet wręcz obskurantką treść jednego z ostatnich wypowiedzeń Mickiewicza, tego Mickiewicza, który był jednym z najświetlejszych ludzi swojej epoki, dumą Lozanny, ogniem Collège de France, marzeniem kół postepowych dla kateory w Krakowie, Mickiewicza, który obiegł świat, który grzmiał z „Trybuny Ludów”, który teraz, sterany życiem, w Konstancyniepołu raz jeszcze zabiega o utworzenie polskiego legionu, cóż możemy powiedzieć na takie wypowiedzenie Mickiewicza zwrócone z ostatnią tęsknotą do dalekiej Polski, zapamiętanej w swej prawdziwej nędzy i z tą nędzą raz na zawsze schowanej na dzień serca:

„Mówiono mi, że w Smyrnie ma być grotta Homera, ale ja tam nie chciałem iść. Ja się przypatrywałem czemu innemu. Leżała tam kupa gnoju i śmieciśka, wszystkie szczątki razem — gnój, pomyje, kości, potłuczone czerepy, kawałi podszuszone pantofla, pierza trochę; to mnie się podobało! Długo stałem tam, bo zupełnie tam było jak przed karzącą w Polsce. Ale syn mój to jużby tego nie zrozumiał, co ja tam widzę, i wolałby pojsć do grotty Homera.”

Wielki realizm Mickiewicza, który sprzął nierozzerwalnie epikę z liryką, sprawił, że poezja Mickiewicza nie tylko utrwała historię, ale i ją rozwija; sprawił, że nie tylko uczy ona o rzeczywistości, ale w nią angażuje; nadto sprawił to, że poezja Mickiewicza uczy zrozumienia i miłości dla konkretnego człowieka i dla jego konkretnych spraw. Istotnie: bez epiki i liryki sprężyniętych nierozzerwalnie w postawie człowieka do świata — nie ma wielkiego humanizmu. Bez humanizmu nie ma ani wielkiego czynu, ani wielkiej poezji, która także jest czynem. Szczyty humanizmu — czynem i poezją — osiągnął Mickiewicz. I dlatego właśnie należąc do narodu polskiego, należy on — przez polski naród — do całej ludzkości. To przede wszystkim musimy w nim uczyć się w czasach, które przewidział dla świata: w czasach panowania bluzy robotniczej.

Stefania Skwarczyńska

ERNEST MAYER WYGRYWA OSTATNIĄ STAWKĘ

MAJOR Franz Loewcke-Eisenherz w roku 1944 działał jako faktyczny dyktator Kielc. Różowy, jasny, bardzo gładko uczesany, był ostatnią instancją w załatwianiu wszelkich dyscyplinarnych spraw, wojskowych i cywilnych. Usiedzący miał zwyczaj nie podnosić się z swego szerokiego biurka, niewielkie bowiem podwyższenie, na którym siedział, skutecznie uzupełniało niedostatki jego ciała (dzięki krótkim nogom liczył około półtora metra wzrostu). Za tym szerokim biurkiem nauczył się nawet pewnej sztuczki mającej tę zaletę, że rozwiązywała skutecznie kompleksy niższości i upośledzenia majora, istniejące od bardzo dawnych lat, od lat jego wrocławskiego dzieciństwa i bawarskiej niepokojnej młodości. Sztuczka majora była prawdziwie diabelska: Loewcke milczał. W jego milczeniu, którym „załatwiał” wszystkie skargi, zeznania i obrony, którym pieczętował wyroki, było coś niepokojącego. Patrzył na ofiarę okrągłymi, zupełnie nieruchomymi oczami ze skostniałym uśmiechem wyszczerzonych zębów.

Sala, w której urzędował Franz Loewcke, była zawsze bardzo jasno oświetlona szeregiem kulistych lamp. Oprócz biurka Loewckiego nie było tu żadnych mebli; także seledynowe ściany — poza wielkim portretem fuhrera nad głową majora — były puste. Po lewej i prawej stronie mieściły się wysokie, czarne drzwi. Sala nie była szeroka, ale długa. Do Loewckiego siedzącego w głębi prowadziła sekwencja wysokich filarów, notując nieuchronnie zbliżanie się ofiary. Nieruchomy Loewcke widoczny był z daleka, od samych drzwi wejściowych. Interesanci wchodzili pojedynczo, zawsze samotnie; nawet obecność żandarmerii przeszkadzała Loewckemu we właściwym rozegraniu sprawy.

Loewcke uśmiechał się przyjaźnie: „Proszę bliżej, śmiało” — mówił jego zęby. Zbliżający się miał zawsze czas na uszykowanie sobie pierwszych słów tłumaczących i obrony, przelamujących zazwyczaj zapórę trwożliwego milczenia. Stawał bardzo blisko biurka i mówił. Mówił coraz szybciej, śmiejąc i głośniej, patrząc uporczywie w blade, okrągłe oczy uśmiechniętego majora. Oraz tak kończyła się przeważnie krzykiem przeraźliwego lęku, jak na widok ociągniętego ze skóry upióra. Krzyk był, oczywiście, prostym przyznaniem się do winy. Wtedy czarne drzwi po obu stronach sali otwierały się szybko i żandarmi zabierali ofiarę.

Nie wszystkie sprawy wędrowały do Franza Loewcke-Eisenherza. Ale te, które zaczynały się w drzwi tej sali — kończyły się zawsze jednakowo. Jednym z pierwszych, którzy zginęli w ten sposób przysparzając Loewckemu sposob osobistej satysfakcji, był pewien inżynier, Polak osiedlony w Kielcach i areztowany na ulicy, bodaj Sosnowiecki, człowiek twardy i mężny. Ale nie o nim teraz mowa.

Major Loewcke-Eisenherz jako SS-owiec z powołania był dowódcą wszystkich kieleckich jednostek SS, ponadto podlegał mu kielecki garnizon Wehrmachtu, a między innymi kolejowa jednostka 46, której zadaniem polegało na pilnowaniu i sprawdzaniu przejeżdżających transportów węgla oraz amunicji dla jednostek świętokrzyskich i na opiece nad magazynami.

Jednostka 46 wśród innych jednostek Kielc nie cieszyła się wielkim szacunkiem, rekrutowała się z ludzi nie obcych z właściwym używaniem broni, kto wie, może nie umiejących jej używać — w jednostce 46 wszystko było możliwe. Żołnierze tej jednostki, z wyglądu byli sklepikarze albo fryzjerzy, cierpieli wiele upokorzeń, przeznaczani byli do najczarniejszych sporządów wojennych zajęć, przy których

zamiat broni wystarczały najzupełniej gołe ręce. Członka jednostki 46 rozpoznawało się łatwo nawet w lażni, gdzie, jak wiadomo, chodzi się bez munduru i dystynkcji. Zdradzał go znużony i zawiedziony wyraz twarzy, sposób mówienia, z miejsca obrony i cierpki, jakby w żalonym przecuciu zaczepki.

Lecz upokorzenie pozabawione możliwości zadośćuczynienia jest zawsze najokropniejszą torturą. Dlatego ludzie z czterdziestki szóstki, bezbronni wobec pogardy innych żołnierzy, znaleźli wśród siebie takiego, przy którym urastali sami i we własnych oczach do rzędu śmiazków, nabierali niemal junkierskiej pewności siebie. Ową koziół ofiarny jednostki 46 nazywał się Ernest Mayer, pochodził z Essen i, jak twierdził, był tam zecerem. Nikt nie wierzył, że Ernest Mayer był zecerem, niektórzy wątpili nawet czy Mayer pochodził z Essen lub jakiegokolwiek innego miasta. Nawet Otto Jung, niegdyś właściciel dwu młynów pod Frankfurtem nad Menem, który zdawał się niekiedy brać Mayera w obronę przed żartami kolegów (i stał się później jego powiernikiem), nawet i on początkowo wyrażał wątpliwość, czy Ernest Mayer mógł być „w życiu” czymś więcej niż tragicznym worków z mąką, a sąd swój opierał na spostrzeżeniu, że Mayer bardzo ciężko myśli. Zresztą — nie prawie o nim nie wiadano. Jedynym źródłem wiedzy o Ernest Mayerze była ziośliwa plotka. Cokolwiek jednak wymyślić mogła w przypływie nudy, właściwej frontowemu zapleczu, fantazja żołnierzy, Ernest Mayer rzeczywiście z życiem, a zwłaszcza wojskowym życiem, nie bardzo dawał sobie radę i pozwalał bez protestu używać się do najgorszych prac. To było bardzo zabawne, że Mayer nie protestuje. Mayer był głupi i naiwny. O, takie zdarzenie: Podczas marszu z amunicją w plecachach do jednostki terenowej, pewien żołnierz, osiemnastoletni zótdziob, łamie nogę. Podwód brak. — „No, jakże, Mayer, nie pomożesz kole-dze?” — Mayer bierze chłopaka na plecy i niesie go trzy kilometry, padając na nos. Dopiero potem mówi: „Jakby kto mi pomógł, to by było lepiej”.

Taki był Ernest Mayer.

Któregoś dnia w listopadzie nadeszła poczta, w której znalazł się list i do Ernesta Mayera. Mayer nigdy nie otrzymywał listów, toteż zdarzenie to wzbudziło wesołą sensację. Mayer porwał list i wywniósł się z kordonu otaczających go kolegów. Uciekł i przepadał.

Tak rozpoczynają się osobiste dzieje jednego z żołnierzy sił zbrojnych, których zwycięże powtórzenie powinno przynieść pewne korzyści.

MOJ drogi Ernst — pisała pod datą 12 października swym bardzo dużym, okrągłym piśmie jego żona, Elza — Kiedy otrzymasz te kilka słów, Twojej Elzy może już nie być na tym świecie. Mamy teraz okropne naloży, a jak onegdajszej nocy wracałam z fabryki, to ja nie wiem, drogi Ernst, jakim cudem zostalam żywa. Nie wiem, czy ten list dojdzie do Twoich rąk, a jak go dostaniesz, to pomyśl sobie, że Twoja Elza może gdzie leżeć z rozbitą głową jak ta Anna Knapp, córka nauczyciela, co ją znaleźli przed dwoma tygodniami bez życia na trawniku pod Lorelei. Mój drogi Ernst, u nas wszystko po staremu, tylko żyć coraz to gorzej. Wczoraj pastor Liebing-Goldkiewer miał u nas kazanie i powiadał parę słów o naszych chłopcach, co giną za wolność Rzeczy, żeby się modlić za nich i oszczędzać na paczki żywnościowe. To ja sobie pomyślałam o Tobie, czy Ty dasz sobie radę na tej wojnie. Snież mi się niedawno, drogi Ernst, ale to był taki okropny sen, że nie będę Ci nic pisać. Pastor mówił

jeszcze, żeby nie tracić nadziei i zaraz coś przeczytał z Pisma Świętego, ale ja nic nie słyszałam, co to było, bo tylko o Tobie myślałam, czy ty żyjesz jeszcze. I potem jeszcze pastor mówił do matek, że by uczyły młode pokolenie na do-brych Niemców, co potrafią ginąć z radością i uśmiechem za naszą wspaniałą ojczyznę. Ale ja wcale nie wierzę, żebyś na przykład, Ty, drogi Ernst, potrafił ginąć z uśmiechem. Jestem smutna, bo już nie wierzę, żebyśmy oboje przeżyli tę wojnę. Albo Ty zginiesz, albo ja, ja to wiem i gniewie mnie to w duszy. Piszę do Ciebie te kilka słów, drogi Ernst, bo chcę Ci powiedzieć, że nie mam już do Ciebie żalu o nic, co miałam w sercu przed wojną, że jak Franz Schwedler założył fabrykę pończoch, to Ty byłeś ciągle zecerem, i że jak



rys. Zofia Trzebińska

mnie Fritz Friemann wtedy obraził, to jeszcze Ty dostałeś po twarzy, a nie on, że nie Ci się w tym życiu nie udawało i jeszcze że przez Ciebie nie mogłam mieć dziecka. Już się na Ciebie o nic nie gniewam, w obliczu śmierci. Tylko Cię proszę, Ernst, żebyś mnie zwolnił ze stowa. Bo ja teraz bardzo chcę mieć to dziecko, co kiedyś będzie takie dzielne, jak Ty, Ernst. Bardzo cię proszę, żebyś mi zaraz napisał, że się zgadzasz, to ja tu uszykuję załatwie. A jak będzie syn, to go nazwę Ernst, na Twoją świętą pamiętkę. Nie gniewaj się na Twoją biedną Elzę, co Cię zawsze tak kochała. A jak nie zginięsz gdzie na tej wojnie, to mi wracaj już do Essen, bo by mi serce pękło.

Twoja kochająca Elza

— Ernst...
— Co? —
— Ernst, no otwórz-że głowę...
— Czego chcesz? Daj mi spokój, dobrze?
— Nie krzycz tak, idioto...

Szept Ottona przypelzniał do Ernesta Mayera poprzez ciemność i wywarł go z odrętwienia, w które zapadł po długich chwilach rozmowy, z rękami wtulonymi za bawelnianą koszulę i złożonymi na ziębniętej pierś. Pozycja taka stwarzała złudzenie, że skostniałe ręce dźwigały się swym ciepłem z resztą ciała i że jednocześnie grzeją się trochę po całym dniu służby, warty, rozmaitych wojskowych czynności. Po godzinach takiego leczenia napełnionych myślami, które rozpalone wyobraźnia gąsły niedo-kończone pod wpływem nagłego drzewcu zima — Ernest ogzał się

narazicie i przyszło nań uspokojenie niedalekie uczuciu zupełnej rozkoszy: ciało i dusza znalazły sobie dogodny zakątek do przetrwania tej nocy — opady bezwładnie na dno wielkiego, wygrzanego gniazda. Przed chwilą zdawało mu się, że powinien zerwać się na nogi i gnać gdzieś w nieznanym kierunku, chwycić za te ręce, w jakieś straszliwie długie ręce wyciągnięte doń z ciemności, czekające nań cierpliwie od bardzo, bardzo dawna — chciał przybiec tam z pierwszym wiatrem i ucałować te oczy, lub plunąć w te oczy, zrobić coś wielkiego, niezrozumiałego, szalonego, nagrodzić, ukarać, pokazać, że jest, że żyje, że wie o wszystkim, że tak samo czeka... że on także nie pozbył się jeszcze wszystkiej nadziei.

— Za późno — przypomniał sobie naraz. — To już się stało. Nie

— Robiłem co mogłem... — powiedział Ernest Mayer.

— „...bo nie mogłeś więcej. Rodzą się czasami takie smiertelne fajtlapy, myślisz, że nie wiem? Od urodzenia do śmierci nic im nie wychodzi. Ona ma rację i nie może wyjść, skoro... — Otto urwał gwałtownie, widać zabrakło mu argumentu. Dodał tylko jeszcze: — Ja, widzisz, znam życie doskonale... — Po czym powiedział głośniej:

— Wojna to wojna. Tu trzeba niszczyć i zwyciężać, a nie tam takie rzeczy... Słyszaleś, co mówił niedawno fuhrer do nas, żołnierzy Sił Zbrojnych?

— „...alle Soldaten rollen für den Sieg — odpowiedział z ciemności jakiś sennie echo.

— Wielka Europa patrzy na ciebie, Ernst, a ty dostajesz sraczkę,

te dwie godziny, to zobaczysz, jak niepotrzebnie.

Ernest Mayer nic nie odrzekł i żołnierz odszedł. Długo slychać było jego kroki dudniące o zmrznięty bruk i niosące się ostro, daleko skroś ciche powietrze. Mayer ustawił się w ściśle określonym miejscu: zawsze w ten sposób rozpoczynało się warte. Po godzinie, pod wpływem mrozu i osamotnienia przyskały zwykłe rygory i zonięcie wykonywali różne dziwaczne ruchy, na które z ledwością pozwalało im grube odzienie: krośnię przysady, małe biegi albo taneczne postukiwanie obcasem o cholewę. Ruchy te rozgrzewały trochę iuo tylko iuazyli zaoytym ciepłem.

Ernest Mayer stanął więc w określonym miejscu na skrzyżowaniu torów, w pobliżu pierwszego wagonu, na którego szczytce wznosiła się czarna budka orekowego. Przed sobą miał plac przekręsuły torami, poyskującymi na ciemną, choć lekko przyprzroszoną śniegami ziemi. Na szynach stały nieregularne rzędy wagonów, przypominające trochę węzła, który neguys gwałtownymi skrętami tułowia przemierzał z sykiem przestrzenie, a teraz leży oto pociąg wsćwskami uderzaniem łopora. Tu i owadze sterzały martwo czarne szkielety zwrotnic, a w głębi, wzdłuż całego tego terenu ciągnął się rząd budynków stacyjnych i magazynów. Nad nimi świecił właśnie księżyc i skros wysokie słupy semaforów i latarni rzucał ku żołnierzowi długie cienie.

Ernest Mayer stał tak dłuży czas i wreszcie uczył zmęczenia. Mroz, szczypany odsonięte okolice twarzy, a może ciepło, które zawięczał grubemu ubraniu, sprwadziły nań senność, więc rozstawił szeroko nogi i spróbował tak drzeć. Ale kolana ugięły się pod nim co chwila i Mayer budził się z uczuciem nagłego lęku, podrzucił karabin na ramieniu i prosiwał plecy. Przyszło nań jednak otepienie, znane wszystkim wartownikom, którym wypada stróżować nocą. Nie jest to otepienie zupełnie, nie zatrzymuje ono mechanizmu czujności, przeciwnie — wyostża i jakby usamodzielnia wszystkie zmysły. Lecz w istocie pograża w zbawczym ogłupieniu, pozbawia zdolności myślenia i sprawia, że np. zacyzna ci nagle nieznosnie ciężkie brzuch. Myśli ta lub inna, równie uparta i nieopojeta, nie opuszcza cię już przez cały czas warty, wypełnia cię całego i zdarza się, że zaczynasz nieoczekiwanie powtarzać ją w głos.

Ernest Mayer zapadł w podobną cęrtwole, ale otrząsnął się z niej, ruszył z miejsca i chodząc drobnyimi kroczkami wzdłuż tego drugiego wagonu. Było to już ziamaniem dyscypliny, ale Mayerowi nie przyszło to do głowy. Więc chodził sobie, podrygując z zimna, które zaczęło mu uokuczać. Zatrzymał się, znów chodził, wreszcie wiazi do budki brukowego i usiadł na laweczce zamknięty z sobą drzwi. Było tu trochę ciepłej, przynajmniej nie czuło się wiatru i mroź nie szczyptał w nos. Zsunął z ramienia karabin i oparł go o ścianę. Teraz należało tylko rozpiąć płaszcz i zdjąć weiniany skafander...

Ernest Mayer poczuł się nagle mocno, zwyciężając znużony. Kształty przedmiotów oświetlonych za okienkiem budki zaczęły skakać mu w oczach i puchnąć, gineły, rozpadły się na cząstki i znów krzepły w formy cudzicne, odmienne i groźne, a potem — jak skazy na kliszy filmowej rzucanej na ekran — runęły w dół. Ernest Mayer zasnął z głową opartą o kolano.

O TYM, kim był Ernest Mayer przed wybuchem wojny, opowiedzieć nie jest łatwo, bo rzecz ta jest z natury swej duża, rozwleka i nawet nudna. Są ludzie obdarzeni zdolnością zaokręglania jednym śmiałym ge-

że cię jakaś baba kantem puściła. I miała rację, bo to widzisz, do nich trzeba...

— Tylko nie „jakaś” — obruszył się Ernest i dodał nagle: — Ona by mnie i tak puściła...

— ...miałem ja u siebie... — zaczął Otto, lecz zasnął i wkrótce zasnął i Ernest Mayer.

JAKOŚ około Bożego Narodzenia po chmurnym dniu nastąpiła błada noc migotliwych cieni, pełna mroznego echa, płynącego z dalekich krańców miasta. Przedwczoraj nocny śnieg spłycy przez pół godziny przykrył ulice i dachy białą powłoką, która z nadejściem nocy zajaśniała zmywnym srebrem.

Kiedy Ernest Mayer wychodził na wartę przy taborze wagonów z węglem stojącym na warszawskiej bocznicy, jazgotliwy świst krakowskiego pociągu ogłaszał godzinę drugą. Ernest Mayer ubrany był w za długi trochę sznyel, okolony pasem z ładownicą, weiniany skafander, opadający mu na ramiona i okrywający całą głowę i twarz z wyłączeniem oczu i nosa, oraz zwykłą furazęrkę z małym daszkiem i bocznymi kłapami spiętymi na dwa guziczki. Żołnierzowi w takim stroju trudno się poruszać, ale też poruszać się nie musi; wystarczy, że stoi i ma oczy szeroko otwarte.

Od koszar do warszawskiej bocznicy nie było daleko, toteż Ernest Mayer, choć szedł niemrawo, przy wartownikowi pełniącym dotychczas służbę był już kilka minut po drugiej. Przejął karabin i zagadnął: — I jak tam? — W porządku — mruknął tamten niewyraźnie skostniałymi szczękami. — Zimą powinni skrać warty, do diabła, i tak stoimy niepotrzebnie. Jak postoisz

— Babcia cię wykołowała? — szepotał Otto. — I co z tego? Wykołowała cię, bo byłeś fajtlapa, fuszer. To zaraz widać. Ja życie znam, ho ho. Wykołowała cię, to fakt, im potrzeba... wiesz... Znałem już takiego jednego, Joseph Kirsch się nazywał. Jemu się coś podobnego przytrafiło. I wiesz, co on zrobił? A ja... — powiedział i potem Zielony Krzyż dostał. Ale to był... ech.

STEFAN J. KUROWSKI

Wielka Dyskusja trwa!

KILKA tygodni temu (w Nr 10 „Nowej Kultury”) Wilhelm Mach w liście do fikcyjnej Ewy rozpoczyna frontalną dyskusję na temat literatury i ostatnich wydarzeń w naszej kulturze.

O jakimż to „czystym nurcie” i jakich „mętnych wodach” mówi Wilhelm Mach w swym „liście do przyjaciela”? Dokonajmy krótkiego przeglądu tego, co działo się w naszej kulturze w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Zwykle, gdy się mówi o „przełomie na froncie kulturalnym”, wymienia się, jako jego początek, XI Sesję Rady Kultury. Tymczasem pewne sygnały o tym, że zbliża się Wielka Dyskusja, pojawiły się już wcześniej, wtedy gdy w Związku Radzieckim rozpoczęto walkę przeciw teorii bezkonfliktowości. Pamiętam, gdy przeczytałam wówczas krótki artykuł w „Trybunie Ludu” o tym, jak „Prawda” gromi bezkonfliktowców — oceniliśmy to jako po-

czątek znacznie głębszego procesu, który musi narastać. Gdy powiedziano A, trzeba było powiedzieć B. Gdy zaczęło się walkę z lakiernictwem, trzeba było zacząć o schematyzm. Gdy zakwestionowano schematyzm, stwierdzono płytkie i wypaczone rozumienie realizmu socjalistycznego. Gdy podjęto próby głębszego sformułowania podstaw kultury socjalistycznej, trzeba było rozprawić się ze zbiurokratyzowaniem tej kultury, z komenderowaniem i pokrzykiwaniem, jako metodą kierowania twórczych procesów, a z drugiej strony trzeba było odbudować zaufanie do człowieka jako twórcy i jako odbiorcy kultury.

Sytuacja dojrzała i jako jej logiczny wynik przysłała XI Sesja Rady Kultury i Sztuki. XI Sesja spełniła wielkie zadanie. Nic dziwnego zatem, że we wszystkich naszych dyskusjach ciągle do niej wracamy. Długo jeszcze nie będzie można przecenić jej znaczenia.

Po uchwałach XI Sesji proces rozszerzenia się naszej koncepcji kultury socjalistycznej potoczył się znacznie szybciej. Nie ma chyba

dziedziny kultury w bardzo szerokim rozumieniu tego słowa, która by nie odczuła dobroczynnych skutków świeżego oddechu, jaki powiał po obradach XI Sesji i po obradach II Zjazdu. Na rzeczy trzeba patrzeć dialektycznie, całościowo, a szczególnie na sprawy kultury, która jest jednością. Szybciej więc potoczył się wydarzenia. Przewietrzono podreżniki szkolne naszej młodzieży i przywrócono w nich proporcje zdrowego sensu, a jednocześnie w 1954 r. zobaczyliśmy więcej filmów zagranicznych — dobrych filmów — niż w ciągu trzech lat poprzednich.

W plastyce zaczęto chwalić Picassa nie tylko za to, że jest dobrym członkiem Komunistycznej Partii Francji, ale i za to, że jest wielkim malarzem, mimo że nie maluje fotografii. Potem przyszedł pierwszy jakby sukces: IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki, na której doszły do głosu nowe metody w sztuce, jak również podjęto tematy bezpośrednio i szczerze odczuwane przez artystę. Odbiorcy przyjęli serdecznie IV Wystawę, witając w niej początek odrodzenia.

I w muzyce przeprowadzono rewizję ocen. Stwierdzono, że i inne formy, nie tylko muzyka programowa, mieszczą się w naszej socjalistycznej kulturze. Nie będzie spływaniem zagadnienia, jeśli

przypomnę tutaj, że przywrócono prawo obywatelstwa lekkiej piosence, a odpowiednie czynności przyszyły do praktyki, ku wielkiej radości liczonej rzeszy malarzy, że jazz... nie zagraża socjalizmowi. Czy szczęśliwy przypadek sprawił, że w tym czasie ustyszeliśmy prawykonywanie wielkiego dzieła, koncertu na orkiestrę Lutosławskiego? Zapomniemy na poczet nowego nurtu w kulturze, a więc i w muzyce.

A teatr? W teatrze podjęto reformę chyba najgłębszą. Rozpoczęto dyskusję na temat wielkiego repertuaru, a jednocześnie podważono monopol naturalistycznego realizmu w inscenizacji. Wolało o indywidualny wyraz poszczegól-nych teatrów. Logicznie musiało to doprowadzić do dyskusji na temat istniejącej centralizmu. Przedstawiono nieśmiało postulacja decentralizacji. Na pierwsze wyniki czekamy w tym roku, roku Mickiewiczowskim. Klasyki narodowy przemówi z naszych scen Jesienią ujrzymy „Dziady”. Ale jeszcze wczelnie latem zobaczymy „Wesele”, ten wielki dramat narodu prawie współczesnego. Jest coś więcej niż symbol w tym, że spłiznowe słowa Wypsalńskiego przemówią do nas ze sceny w Pałacu Kultury i Nauki.

Przypomniała została wreszcie twórczość Szaniawskiego i obiecuje się „Zeglarska” w Teatrze Polskim.

I w filmie odczuło potężny wpływ Wielkiej Dyskusji. Filmy nasze krytykowane zawsze, ale teraz rozpoczęto to robić śmiało i z pozycji o wiele bardziej zasadniczych. Długi jest cykle produkcji filmu. Toteż obraz, którego realizację rozpoczęto w okresie, gdy była modna ultraprodukcynna powieść Azajewa, zakończono już w czasach, gdy dostarczanie poważnych błędów artystycznych, schematyzmu i abstrakcyjnej deklaracyjności w „Żołnierzu Zwycięstwa” stało się obowiązkiem społecznym. W innych czasach film „Niedaleko Warszawy” by przesył, teraz oceniono go jako kompromitację. Filmowi

„Niedaleko Warszawy” Wielka Dyskusja nie wyszła na dobre. Filmowi polskiemu wyszła na „jak najlepiej”. Ferment ogarnął coraz to nowe dziedzi. Gdy raz zaczęto mówić, nasuwały się coraz nowe rzeczy, które należało przedyskutować i na sprawy dawniej już ustalone spojrzeć jeszcze raz — nowym spojrzeniem. W architekturze np. przyszło to tak nagle, że prawie wybuchło. Od silny tego wybuchu poprzewracały się wymyślne pałace z cuku, stanowiące dotychczas obowiązujący kanon, lecz również wybuch ten sprawił, że nie jeszcze nie zdołano postawić na miejsce zwalonych świętości. Pewne jest jednak, że to, co przyjdzie, będzie architekturą zdrowszą i wyrosłą z nwardziwych, a nie zaklamanych potrzeb.

NAJTRUDNIEJ było z tym nowym nurtem w dziedzinie, która jest zwykle najczulsza na nowe prądy kulturalne, która najszybciej zawsze reaguje w literaturze. Dlaczego? Czy sytuacja w literaturze była odmienna niż w innych sztukach? Czy literatura może nie dotknąć bakcyl lakiernictwa? Czy nie pokryła powłoka schematyzmu? Czy nie ogarnął paraliż biurokratyzacji? W tym miejscu musimy podjąć po raz pierwszy, ale nie ostatni polemikę z Machem. Jakżeż autor „listu do przyjaciela” przedstawiła te sprawy?

Cały obraz „tamtych czasów” ogranicza się u Macha do kilkunastu wierszy wspominków ze Zjazdu Polonistów w Poznaniu w 1952 r. Ale jak to jest napisane? Wprawdzie Mach sili się na krytyczną ocenę owych wydarzeń i owej atmosfery,

usprawiedliwioną trzyletnim dystansem i trzyletnią „dojrzałością poglądu”. Ale dominuje inny ton: po-bliżalność, serdeczna pobliżalność i wyrozumiałość taka, że ledwie się dotknę błędów, to już się spieszy z ich usprawiedliwieniem. Grzeszyli młodzi krytycy, ale któż z nas wówczas nie grzeszył. Na razie nic nie rozumiemy. Dopiero kilka wierszy dalej następuje wyjaśnienie. Ach, gdybyśmy poprzestali na tamtych błędach, byłoby pół biedy. Ale obecnie „przejęli pałkę” i popadli w grzechy stokroć groźniejsze. Zbyt d o s t o w n e i e z r o z u m i e l i i u w i e r z y l i w p r z e l o m, z b y t d o k ł a d n i e i w y r z e k l i s y s c h e m a t y z m w t e m a t i c i s c h e m a t y z m u w m e t o d z i e, n a s e r i o c z e l i m y ś l e ć s a m o d z i e l n e. A p o w i n n i t o u c z y n i ć t y l k o w p o l o w i e, m o ż e w j e d n e j c z w a r t e j. P r z e h o l o w a l i! A w p r o w a d z a j a c t e s a m o d z i e l n o ś c i m y ś l e n i a d o n a z e j k u l t u r y, r o z b r o i l i j a, n e o p a t r z n i, z p a n c e r z a s c h e m a t y z m u i o t w o r z y l i n a o c i e ż w r o t a, p r z e z k t o r e, n i e o m i e s z k a j a c, w k r o c z y l w r o g.

Czy mamy wykazywać, jak splycony, jak tendencyjny i fałszywy jest „skróty perspektywiczny” lat pięćdziesiątych i pięćdziesiątych drugich, nakreślony z tych pozycji? Niepełny byłby ten obraz, gdybyśmy widzieli tylko braki tego okresu Stworzono również dzieła wartościowe, których był nie przeminię w literaturze w ciągu dziesię-

Wiatr od Hudsonu

Kronikarze przyszłych stuleci...

agrarnych do zakrojonych na olbrzymią miarę, doskonale zmaszynizowanych sposobów produkcji przemysłowej, od stroju opartego na pracy niewolniczej po najbardziej skomplikowane formy nowoczesnego kapitalizmu. Przemiany te są olbrzymie jak wszystko w świecie nie kończących się rzek, największych na kuli ziemskiej wodospadów, bezkresnych puszcz i oceanów. Równie gigantyczne są przyplawy mas ludzkich, rozwój miast — rozsnuwająca się coraz dalej tkanina linii komunikacyjnych. Samuel Sullen przypomina, że w ciągu tych lat, w których Whitman układał swoje „Zdźbła traw”, ludność Stanów wzrosła od dziesięciu do prawie czterdziestu milionów, a kapitał inwestowany w produkcję przemysłową — od 50 milionów do biliona dolarów. Obraz Ameryki z połowy stulecia przypomina wnętrze krateru, gdzie w ogniach i zgiełku dziejów wytapiają się nowe formy społecznego bytowania ludzi.

Niby cięcie zadane skalpelem przechodzi środkiem dziewiętnastego wieku wojna secesyjna, krwawa i długa, odmierzająca to, co sprawiedliwe w Stanach i godne życia, od tego, co wsteczne i skazane na przeszłość. Sprawa czarnych, to „przekleśnięte zagadnienie” wiszące do dziś jak cień nad sumieniem nowego świata, urosła do sprawy naczelnej, decydującej o honorze całego narodu. Karol Marks pisze wówczas w liście do Lincolna: „Klasa robotnicza całego świata wyczuwa, że pod gwiazdystym sztandarem waży się los proletariatu”. — Whitman jest najbardziej czujnym świadkiem tych przemian, ale takim, który z pełną świadomością i w poczuciu wielkiej odpowiedzialności angażuje się do sprawy naczelnej. Jego wiersze jak kartogram sejsmografu odnotowują wszelkie drgania i wstrząsy narastających konfliktów.

Nad umysłowością Ameryki tych czasów dominują trzy indywidualności: Mędzrec z Concord, Ralf Waldo Emerson szukający rozwiązań dla problemów epoki na drogach myśli spekulatywnej i w ramach spirytualistycznych systemów filozoficznych, Abraham Lincoln, który realizuje czynnem politycznym cele postępu — naczelny męczennik demokracji — the Martyr Chief, jak go nazwał poeta, i wreszcie Whitman — zwiastun przyszłości — najpełniejsza sublimacja ducha narodowego — wielki poeta demokracji.

Whitman kocha i ogarnia swój kraj jak przyjaciela. Jeśli on sam stał się bohaterem własnych utworów — to Ameryka jest tu aktywnym tem — wszędzie obecnym żywiołem. W kartach książek poety ogromny kontynent przegłada się jak w zwierciadłach oceanu. (By blue Ontario's shore). Cała jego morskość, wicherstwo, piodność ziemi i gwiazdźliwość niebiosów dyszy ze strof Whitmana: „Uniosłem zapach puszcz sosnowych z Maine — i oddech pastwisk Illipio's, i równinę Texasu — czarne Strumienie Sauge-naysu pulsują we mnie i hucają wodospady Huronu. (Thou Mother with thy Equal Brood).

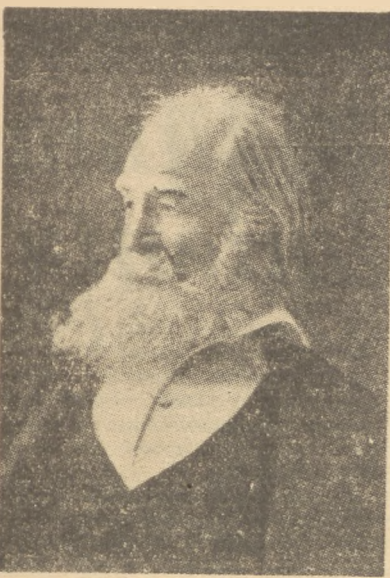
„Ale bliżsi niż gwiazdy i kamienie są dla serca poety ludzie jego ojczyzny — ich naelektryzowane ciała — ich czujne myśli — ludzie, te zdźbła traw, z których składa się naród. „Cóż — sądzicie, najgodniejsze jest mojego śpiewu — czyżby okręt liniowy o kształcie doskonałym — wspaniałości dawnych dni, albo chwala wielkiego miasta, gdy rozkwita? — Chcę oowiedzieć po prostu — tych skromnych ludzi, których widziałem wczoraj, objętych gorącym uściskiem miłości, gdy się zegnali ze sobą”. („Kisic trzciny”). Tlum ludzi nie był dla Whitmana bezkształtną masą — widział go jak zespół indywidualności. Dlatego cenił miasta — ogniska wzmożonego życia. Jak nikt przed nim i niewiele już później przeniknął atmosferę Nowego Jorku — tej „stolicy orgii”. Crossing Brooklyn Ferry — obraz mrowia ludzkiego słońca-go na promach przez Manhattan zmienia się w oszalamiające wizje całego narodu. W poemacie tym Whitman, podobnie jak później Rimbaud w swoim Paris se peuple, narzucił środkami realistycznego opisu sugestię gorącego majaku — gigantycznego zwiżdżka ze snu.

Emerson określił „Zdźbła traw” mianem — „poematu amerykańskiego”. Istotnie, żaden inny utwór nie ogarnął bogactwa tego kraju słowem równie plastycznym, żaden nie opromienił go miłością tak gorącą, jak samo życie.

Przypominamy, że termin składania prac konkursowych na reportaż literacki podejmujący tematykę związaną z życiem Polski Ludowej upływa z dniem 20 kwietnia br.

Termin ogłoszenia wyników konkursu zostanie podany w jednym z najbliższych numerów.

REDAKCJA



Samego siebie opiewam

WZBURZONE włosy, jakby przeszła po nich ręka morską wiatru, i rozwiana na potężnej piersi broda nadają mu wygląd proroka, w którego wstąpił duch Boży. Pod wysoko wzniesionymi brwiami oczy, które patrzy daleko. Jest w nich myśl i nostalgia. Taki wizerunek Walta Whitmana przekazały nam fotografie z jego czasów.

Inaczej widzi go współczesny poeta, Garcia Lorca, który podczas swej podróży do Stanów zetknął się z twórczością wielkiego Amerykanina, poświęca jego pamięci najgłębszy ze swych utworów. Wiersz z Long Island nabiera w tej poetyckiej interpretacji wymiarów nadludzkich — jakby zastygał w monumentalne linie rzeźby kosmicznej. — „Widzę Cię, Mężu wspaniały — w gąszczu twojej brody trzępocą role motyli — lśniące księżycem ramiona sięgają od bieguna po biegun. Słyszysz twój głos wysoki jak kolumna mgieł”. (Oda a Walt Whitman).

Natomiast Samuel Sullen, postępowy krytyk i eseista amerykański, próbuje naszkicować sylwetkę pisarza oglądane go w dynamicznym rozwoju osobowości w ścisłym kontekście życia: „Ta niesłychanie bogata indywidualność skupia w sobie wszystko, co jest dotąd najbardziej typowe dla literatury amerykańskiej. Widziano w nim kolejno mistyka i materialistę, skrajnego indywidualistę, a także zwiastuna epoki socjalizmu. Gdy według jednego jest szerzycielem anarchizmu, dla innego staje się twórcą nowego stylu życia. Po prostu zbyt dosłownie wzięto jego wypowiedź, gdy pisał: — „Czy jestem w sprzeczności z sobą? — Na pewno — bo jestem niezmierny — i bo kryję w sobie mnogość form”.

Do dlatego najpełniejszy wizerunek Walta Whitmana znajdziemy w książkach, które stworzył. Cała ta symfoniczna twórczość, od pierwszych utworów z „Dedykacji” aż po ostatnie refrezy ze „Strumienia jesiennego” odbija naby lustro jego wieloraką i wielokształtną osobowość. Wiersze ze wszystkich kolejnych i wciąż uzupełnianych zbiorów — „Zdźbła traw”, „Bicie werbli” czy „Kisicie trzciny” — rysują potężny i genialnie rozwinięty profil poety. Jego dzieło zmienia się w monstrualny pamiętnik, gdzie wszystko: świat przeżył i świat idei, krajobraz i losy ludzkie krystalizują się i rosną wokół dominującego „ja” artysty. Pamiętać trzeba jednak, że Whitman najdalszy jest tu od wszystkiego, co stanowi choćby ślad czułościowego narcyzmu czy kultu własnej jaźni, cech czystych u romantyków. „Ja” whitmanowskie jest symbolem. Poeta wdiera się na tereny dostępne tylko największym twórcom, dochodzi do granic całkowitego zespolenia własnej jaźni z całym uniwersum. Śpiewając siebie samego opiewa wszystko to, co istnieje — on sam jest tylko wykładnikiem życia — jego dźwięcznym i drgającym sygnałem. „Śpiewam jednostkę ludzką, ale taką, jaka jest en masse, w sensie demokratycznym — śpiewam o niezmiernym życiu wstrząsamy namiętnościami — rytmem gwałtownych sił — o radosnym i twórczym życiu człowieka nowoczesnego”. (One's self I sing). I to właśnie wyznaczenie zawarte w jednym z jego pierwszych utworów określa go najtrafniej. Whitman zbudował ze swych poematów monument na chwałę człowieka nowych czasów, takiego, który umie walczyć i kochać nie samotnie — w oderwaniu od losów świata, ale najściślej za nie odpowiedzialny i z nimi zjednoczony.

Wysoki cień tego posągu jak drogowskaz kładzie się poprzez Amerykę — krainę nowoczesności.

Ameryko — słyszę twą pieśń

KIEDY Krzysztof Kolumb przybił do brzegów nowego świata, było tak, jakby zdobywał samą krainę poezji, ziemię dotąd oddaną we władanie tylko legendom — ledwo wylanającą się z mroku snów. Ale Kolumb przywiózł na wątlých pokładach Santa Marii to wszystko, co rządziło jak zasada stara ziemia: jej realizm sił politycznych — prawa historii — mechanicznej rozwoju. Oddat Ameryka będzie musiała w pośpiesznych skrócie odbyć drogę, którą Europa miała już za sobą. Szczególnie gęsty od zdarzeń stanie się tu wiek dziewiętnasty — gigantyczne laboratorium socjologii, gdzie niby na pokazie eksperymentalnym oglądać można przebieg procesów dziejowych. Od prymitywnych systemów

wyrosły w potężne dąbrowy. Słuchaj spokojny, bo zawari w nich to wszystko, co chciał powiedzieć: samego siebie, swoją wiarę, marzenia i miłość, piękno swej ziemi, historię swojego czasu. „Zdźbła traw” wchłonęły w siebie resztę twórczości Whitmana, i „Bicie bębnow”, i „Kisicie trzciny”; przy czym poszczególne rozdziały, jak części symfonii, spełniają odrębne funkcje w całości. Jeśli pierwsza część „Grass of leaves” tętni ideą afirmacji, to „Bicie bębnow” zawiera sąd nad epoką i myśl polityczną Whitmana, a „Kisicie trzciny” i „Strumienie jesiennie” wyrażają najpełniej pragnienie miłości. Te idee przewodnie nie idą paralelnie, lecz przeplatają się i uzupełniają jak wątki w utworze muzycznym.

Źródłem tej trudnej sztuki kompozycyjnej były dzieła filozoficzne Emersona, Szekspira i biblia. Szczególnie biblia, z której Whitman czerpał najobficiej. Głos wielkich proroków hebrajskich woła z wersetów whitmanowskich niby dźwięki spżowych trab. To biblia uskrzydla słowo poety, gdy przychodzi mu uderzyć w ton profetyczny — to ona jest wzorem procedury i stylu. Czyż fragmenty „Podróż do Indii” nie przypominają psalmistów! „Podróżujemy zaprawdę, duchu mój, w głąb twojej najpierwszej myśli, nie tylko środkami łądów i wód, lecz i przez serce twoje wiosny — do królestwa, gdzie kwitają biele. Forma psalmu hebrajskiej przyniosła też i niebezpieczeństwa. Stąd płynnie barok niektórych porównań, niezmożna czasem emfaticzność sformułowań, zwłaszcza w tych fragmentach, które zmieniają się w nieskończone szeregi wyliczeń.

Innym, niewyczerpanym źródłem natchnienia jest sama księga życia. Whitman sięga po słownik placów targowych, po żargon woźniców i robociarzy, stosuje zwroty, do których za nic nie przyznałby się wytworni poeci Królowej Wiktorii, Tennyson czy Browning. To wszystko sprawia, że książki Whitmana nieraz zniechęcają miłośnika wierszy, którego poeta zmusza częstokroć, aby błądził w gąszczu wersetów jak w puszczy. Niejedna gałąź tych zbiorów obumarła i dudni głuchą retyką. Ale pod tym balastem, w głębi nieskończonych potoków słownych oddycha to, co jest niezniszczalne w poezji Whitmana: zew wielkiej poezji, pozdrowienie rzucone światu.

Whitman kochał Boga — „Wielkiego Towarzystwa” — ale rzadko o tym mówił. Jest jakies dostojęstwo w tej powściągliwości, w tej niechęci do szafowania najświętszym z ludzkich słów. „Wierzymy w Boga” — wyznawał psalmistami swojej „Podróż do Indii” — „wierzymy mocniej niż którykolwiek z Jego kapłanów, ale nie śmiemy Bożej tajemnicy wystawiać na stragan”.

Salut au monde

GARCIA Lorca odczuł na sobie poezję Whitmana jak podmuch gwałtownego wiatru wiejącego od Hudsonu. Istotnie jest coś w tych wierszach, co kaze myśleć o burzy. Jest coś z wichru w ich dynamizmie, w rozgłosie, który przekroczył granice Ameryki rozchodząc się szeroko. Stało się tak zgodnie z pragnieniem samego poety — zgodnie z profetycznym charakterem całej jego działalności literackiej. Wiedział przecież, jaka siła stanowi słowo uskrzydłone przez artystę, a chciał, aby się stało orężem. Dlatego był zawsze obecny tam, gdzie się toczyła walka o sprawiedliwość, aby świadczyć i czuwać. Rewolucja 48 r. (wiersz: „Do pokonanego w Europejskiej rewolucjonisty”), czy zwycięstwo militarysty pruskiego nad Francją, matką wielkiej rewolucji (O Star of France), czy upadek powstania w Hiszpanii (Spain) — wszędzie odnajdziemy Whitmana. Ten na wskroś narodowy poeta był równocześnie wzorem szermierza internacjonalizmu, o ileż wyprzedzając ówczesnych pisarzy europejskich!

Cała postępowo i twórcza literatura amerykańska wywodzi się w jakiejś mierze z Whitmana; od Teodora Dreisera przez Sherwooda Andersona aż po Karola Sombberga i Thomasa Wolfa. Ale i cudzoziemcy zawiązują Whitmanowi wiele. Jego głos zadźwięczy w politycznej poezji Majakowskiego, wielkie „Ody” Lorki wyrosły w cieniu „Zdźbła traw” — nie byłoby „Pieśni powszechnej” Nerudy, gdyby nie „Bicie bębnow”.

Whitman nie zawiódł się na „poetach przyszłości”, do których wołał tak często (Poets to come) wyznaczając im rolę sędziów czasu ludzkiego, na ich barki kładąc odpowiedzialność za wizję, którą narzucać mają wyobraźni swoich pokoleń. Sam przecież stworzył taką wizję wysnutą z jego najczystszych marzeń — obraz ludzkości wreszcie pojednanej, tworzącej rodzinę, gdzie rządzić prawa miłości — humanity forming en masse. Był dobrym prorokiem świata — nie głosił zagłady, nie przeczuwał katastrof. „Zapamiętajcie moje słowa” — pisał w jednym z ostatnich swoich wierszy (So long) — „kocham was — odchodzę teraz do sfer nieznanych, a jednak prawdziwszych niż sniem”. Farewell and hail — żegnaj i witaj!

Mikolaj Bieszczadowski

Pieśń o sobie samym

Spytało mnie dziecko: Co to jest trawa? i przyniosło pełne jej dionie;

Cóż miałem odpowiedzieć dziecku, kiedy doprawdy sam nie wiem? .
Myślę, że jest chorągwią mojego życia z zielonego płótna nadziei.
Albo — myślę — chusteczką Pana Boga,
Wonnym podarkiem, pamiętką umyślnie zgubioną,
Z imieniem właściciela w którymś rogu, abyśmy spostrzegłszy je
i odnalazłszy zapytali: Czy ja być może!

Albo — myślę — trawa jest maleństwem, dzieckiem życia.
Albo — przypuszczam także — jedynym hieroglifem,
Który oznacza: Kielkuję w dużych jak i małych krajach,
Rosnę wśród czarnych jak wśród białych ludzi,
Kanuka, Tuckhoa, członka Kongresu, Murzyna jednakowo witam
oddając się im na równi.

A teraz, przypomina mi piękne, nie strzyżone włosy grobów.
Łagodnie obchodzę się z tobą, kędzierzawa trawo,
Może wyrastasz z piersi młodych mężczyzn,
Może, gdybym ich znał, pokochałbym bardzo?
A może z piersi starców albo dzieci zbyt wczesnie odjętych łonom
matek?

A teraz sama jesteś macierzyńskim łonem,
Ta trawa jest jednak zbyt ciemna, by rosnąć z słuch głów starych
matek,

Jest ciemniejsza niż bezbarwne spłowiełe brody starych mężczyzn,
A także jest zbyt ciemna, by kwitnąć z zaróżowionej gleby ust.
O widzę nareszcie wiele mówiących języków
I teraz wiem — nie na darmo wykwitły z gleby ust.

Chciałbym posiadać wiedzę wyrażenia sensu napomknię o martwych
młodych mężczyznach i kobietach,
A także napomknię o starcach i matkach, i o maleństwach zbyt
wczesnie odjętych piersiom.

A ty — jak myślisz, co stało się z tymi młodymi i starymi mężczyznami
Jak myślisz — co stało się z kobietami i dziećmi?
Zak gdzieś i jest im tam dobrze,
Bo przecież najmniejsze nawet zdźbło świadczy, że śmierci naprawdę
nie ma,

A jeżeli była kiedyś — wiodła pospieszne życie, nie czekając, by ją
zaskoczyło,

I zginęła w chwili, kiedy zjawitło się życie.
Wszystko oddaje się ziemi i niebu, nie nic znika,
A umrze, to co innego, niż ktoś wyobraził sobie — to coś szczęśliwszego,



Pozdrowiona niech będzie ziemia

Niech będzie pozdrowiona wszelka ziemia pełna różnej piękności.
Niech pozdrowione będą kraje sosny i dębu,
Pozdrowione niech będą kraje cytryn i fig,
Pozdrowione krainy złotodajne,
Pozdrowione ziemię pszenicy i kukurydzy, pozdrowione i te, które rodzą
winogrod,

Pozdrowione niech będą kraje cukru i ryżu,
Pozdrowion kraj bawełny i ten, gdzie wyrastają słodkie i białe kartofle,
Pozdrowione góry, równiny, piaski, puszczę i stępy,
Pozdrowione obfite brzegi rzek, paskowuże, przełęczce,
Pozdrowione bezkresne pastwiska, pozdrowione bujne ogrody, ziemię
lnu, konopi i miodu,

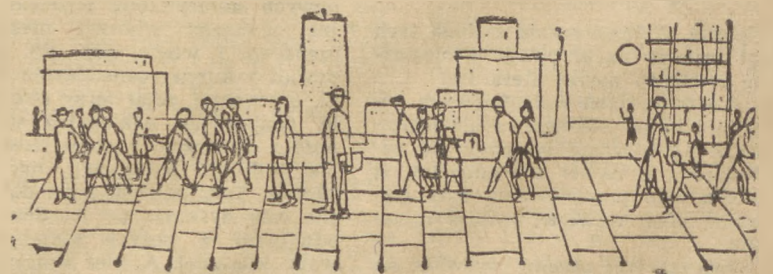
Pozdrowione także gleby mniej laskawe o szorstkiej powierzchni,
Ale również bogate jak kraj złota, pszenicy i sadów,
Ziemię kopalń — krainy krzepkiej i ciężkiej rudy,
Ziemię węgla, miedzi, ołowiu, cyny i cynku,
Ziemię pełne żelaza, kraj, który zrodził topory.

Ameryko — słyszę twą pieśń

Słucham śpiewania Ameryki — jej pieśni wielorakiej słucham.
Słucham robotników — każdy z nich śpiewa o samym sobie;
Śpiewa radość i siłę.

Drwal także śpiewa siebie — w tym jak wymierza deski i belki,
Murarz śpiewa w tym — jak wykonuje swe dzieło i jak je kończy,
Zeglarz o tym wszystkim — co należy do jego łodzi,
Marynarz śpiewa pokład swojego okrętu —
Śpiew wyrobniaka leśnego — śpiew młodzieńczego oracza,
gdy chwali poranny świt, albo o spoczynku południa czy o radości
wieczoru,

Łagodny zaśpiew matki, smętny śpiew młodej wdowy
pochylonej nad pracą, albo dziewczyny, gdy pierze czy naprawia bieliznę,
Każdy śpiewa o tym, co mu przynależy, o niczym innym.
Dzień o tym, co jest dzienne — a noc, noc śpiewa sprawę
młodych towarzyszy — łagodnych, ale mężnych,
kiedy śpiewają z całego serca
słodkie i dźwięczne pieśni.



rys. Krystyna Maślanka

Do poetów przyszłości

Poeci, którzy idziecie — krasomówcy, pieśniarze, muzycy przyszłości
Jeszcze nie nadszedł czas, abyście mnie osądzili — abyście powiedzieli,
kim właściwie byłem.

Ale wy, szczerp najmłodszy — dzielni, potężni, mocniejsi niż kiedykolwiek,
Powstańcie, ach powstańcie, aby mnie osądzić,
Bo napisałem tylko jedno albo dwa słowa godne przyszłości,
Bo tylko na mgnienie przechodzę, aby od razu zaurzędzić, aby uchodzić
w ciemności,

Ja jestem taki, który gnuśnie się wlokąc przed siebie i ani się
zatrzymując nawet na krótką chwilę

Kieruje przelotne spojrzenie ku wam i twarz odwraca,
Wam już pozostawiając sprawę sądów i wniosków,
Od was czekając dzieł wielkich.

„Pieśń o sobie samym”, tłumaczył Andrzej Plotrowski, pozostałe utwory
Whitmana — Mikolaj Bieszczadowski.

Prawo jako narzędzie remilitaryzacji Niemiec Zachodnich

(Dokończenie ze str. 7)

WZRASTAJĄCA ilość faktów, świadczących o przyspieszonej remilitaryzacji Niemiec zachodnich przez trzy zachodnie mocarstwa okupacyjne...

Gdy mówi się o zjawiskach prawnych na terytorium Niemiec zachodnich, to nie należy zapominać, że z chwilą utworzenia tam Niemieckiej Republiki Związkowej nastąpiła likwidacja wspólnej kontroli czterech mocarstw nad Niemcami...

Jak przedstawia się działalność trzech mocarstw zachodnich na tym odcinku? Nie będzie przesadą stwierdzenie, że mocarstwa zachodnie wpręgły prawo do swej działalności remilitaryzacyjnej w Niemczech zachodnich...

Na podstawie tego aktu prawnego miano przystąpić do demilitaryzacji przemysłu ciężkiego na terytorium całych Niemiec oraz do likwidacji wszystkich elementów organizacyjnych niemieckich sił zbrojnych...

Pierwszy odcinek — to sprawa demilitaryzacji ciężkiego przemysłu niemieckiego. Wszystkie czterostronne akty prawne stoją na stanowisku, że zasadniczym warunkiem zakończenia okupacji Niemiec...

Przed wszystkim należy zwrócić uwagę. Poruszona w niej bowiem w sposób bierny temat, a zarazem nowy, problematyka stanie się niewątpliwie środkiem, z którego czerpać będą ci policyści katolicy, którzy pragną uzupełnić swą wiedzę i przemyślenia na temat tak aktualnego i istotnego zagadnienia...

ktoż Sojusznicza Rada Kontroli nad Niemcami wprowadza zakaz rozwijania wszelkiej działalności przemysłowo-gospodarczej, mogącej stanowić podstawę utrzymania lub przystosowania przemysłu niemieckiego dla celów nowej agresji...

Jak przedstawia się działalność trzech mocarstw zachodnich na tym odcinku? Nie będzie przesadą stwierdzenie, że mocarstwa zachodnie wpręgły prawo do swej działalności remilitaryzacyjnej w Niemczech zachodnich...

Drugi odcinek — to sprawa demilitaryzacji rozpatrywana z punktu widzenia zniszczenia niemieckich sił zbrojnych. I tutaj mamy podobne zjawisko. Ustawa Nr 8 Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami...

pamięć znaną wypowiedź gen. Eisenhowera na temat konieczności przywrócenia „honoru wojskowego” armii niemieckiej. Po tej wypowiedzi przystąpiono do starannych przygotowań, zakończonych projektem niedoszłej „armii europejskiej”...

Tak przedstawiają się niektóre zapaowiedzi i oświadczenia mocarstw zachodnich i kanclerza Adenauera. Praktyka przedstawia się inaczej — wyrazem praktyki jest odrzucony już obecnie projekt utworzenia „armii europejskiej”...

Alfons Klafkowski

DYKTATOR MILE WIDZIAŁAM

„COME TO SUNNY SPAIN! — Tak wiele znaleźć możecie w Hiszpanii — plaże i walki byków, wioski i winnice; stare mury miast i strzeliste ceglaste zamki, katedry, pałace, jedne z najwspanialszych gauri obrazów na świecie...

Podkreślił to sam Łódź wielomówącym gestem — zmienił kurs statku linii „Export Lines”, który zawszawia do Gibraltaru i skierował go do hiszpańskiego portu Algeiras...

Ze stara się on przekonać Amerykanów, iż na Francję można liczyć jedynie w tym mierze, w jakiej Hiszpania do dzieł mogła ją poprzeć. Podobnie nierażona jest Anglia, której ambasador zapewnia o wielkiej przyjaźni swego narodu i oferuje nie liczącę cenę...

STEF.

Stefan J. Kurowski

Zycie i Myśl. Nowy numer „Zycia i Myśli” nasze glówny zamierzeniem skłupa się na spisie treści. Użarło się już bowiem, w pewnym sensie słusznie zresztą przekonanie, że „Zycie i Myśl” jest ciekawym przed wszystkim przez swój charakter gantkowy, przez wagę zamieszczanych artykułów, będących wyrazem nurtujące aktualnie problematyki ideowo-politycznej...

Autor poddał ostrej krytyce stanowisko tych orszadzieli, którzy nie zauważyli, że ich wiarą koniecznie musi posiadać swój odczytek w ich działalności realizowanej w obrębie społeczeństwa ziemskiego, którzy „zamiast służyć — uciekać, zamiast angażować się — chowają się, choć powinni świadczyć... „Kady człowiek żyjący w świecie — precyzyjnie autor — ma obowiązek doskonalenia społeczeństwa i doskonalenia grupy, nad którą czuwa”...

też pracy, która ma zasadnicze znaczenie dla zieleń czytelników. Następna pozycja, która należał oświadczyć, jest artykuł prof. A. Klafkowskiego pt. „Zagadnienie administracji kościelnej na Złemich Odszykanych w aspekcie prawa międzynarodowego”. Ujęcie zagadnienia w sposób bardzo szeroki zarówno od strony polityki i prawa międzynarodowego sensu stricte, jak i konkretnie sytuacji Polska — Stolica Apostolska w świetle historycznym jest niewątpliwie jedną z najcenniejszych pozycji naszej biblioteczki...

pektowania jego spycyficznych potrzeb w zakresie organizacji prawno-administracyjnej Kościoła na swoim terytorium. Na te i podobne pytania dale odpowiedź przeprowadzona analiza sprawy konkordatu z 1933 r. jak i analiza konkordatu praskiego z 1925 r. W konkluzji podaje autor kilka form prawnych stosowanych w historii do rozwiązywania trudnych sytuacji między państwem i Kościołem...

Wróćmy jednak do merytorycznej strony artykułu. Jest dla niezorientowanego czytelnika niemal rewelacją ów ogromny kult, nabożeństwo, ufność i miłość żywione przez społeczeństwo średniowiecznej Francji do Matki Boskiej. Nie umniejsza tego w żadnym stopniu, a może nawet podnosi — słowny prymitywizm. Z zamieszczonych recenzji książkowych na specjalną uwagę zasługują staranne i wzbudające zaufanie dzieła społeczno-ekonomicznych owianego okresu. Problematykę niemiecką poruszają również dwie następane recenzje: Alfonsa Klafkowskiego z „Pamiętników Ribbentropa” i Krzysztofa Szubiszewskiego z pracy A. Klafkowskiego pt. „Traktat pokojowy z Niemcami”.

Dział recenzji zamyka dokonane przez Jerzego Zagorskiego omówienie podręcznika ekonomii politycznej wydanego przez Akademię Nauk w ZSRR w 1954 r. M. R.

NA NOWYCH DROGACH KULTURY RADZIECKIEJ KARTKI



Nowa książka znanej pisarki Halny Nikołajewej pt. „Powieść o dyrektorzach MFS i o głównym agronomie” wydana ostatnio w Moskwie...



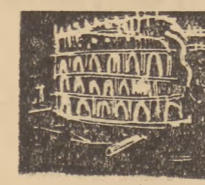
„Hamlet” na scenie teatru im. Wł. Majakowskiego w Moskwie. Poloniusz — L. N. Swierdlin, Hamlet — E. W. Samojłow.

Pisma literackie Związku Radzieckiego bardzo wzięły sobie do serca zarzut II Zjazdu Pisarzy o nienadaniu krytyki za potrzebami współczesnej literatury...

oraz przypisywania im sposobu myślenia ludzi nam współczesnych. Zagadnienie monumentalizacji, problem tzw. „człaukelizmu”, który dyskutowany był tak gorąco w środowiskach filmowych...

Nawoływano do „czerpania pełnymi rękami” z klasycznego repertuaru światowego i radzieckiego. Odpowiedzią na ten apel jest wystawienie w Moskwie „Hamleta” i „Człowieka z karabinem”...

Zjazdu. I w tej dziedzinie zrobiono już wiele. „Nowy Mir” ogłosił w swych tegorocznych numerach ostatnią powieść Howarda Fastę pt. Silas Temberman...



Pisząc o sprawach kulturalnych dziesiątych lat, przypomina mi się tytuł „Misterium”...

Mówiąc tutaj o włoskich sprawach kulturalnych nie zamierzam przemleć odcinając twórczych katolików...

Pomyśl Diego Fabbrì jest bardzo śmiały: oto wspaniale rozgrywa się po raz drugi wielki proces przeciw Jezusowi...



List z Berlina — „miasta frontowego”

Uplynał już cały kwartał od mego ostatniego — gwiazdkowego listu. Pierwszy kwartał 1953 r. obfitował w dziedzinie literatury i sztuki w wielkie nadzieje...

ku obrad, odbywanych w Berlinie, znajdowały się również ogólnoniemieckie problemy kulturalne. Ministrowie czuli się zmuszeni do sformułowania i z swej strony pewnego jednościowego programu...

depresji i rezygnacji. Przeciwnie się zagadnienia stylu, a nie szuka się nowych treści. Bazuje się na klasyce, zamiast obrócić spojrzenie na współczesność...

Są i inne nowości teatralne. Gerarda Philippe'a w „Ruy Blasie” już jednak w Polsce widzieliście.

MOTYWY CHRZEŚCIJAŃSKIE W PLASTYCE

Wystawa grafiki niemieckiej w Pergamon-Museum nie zadowolila na ogół ani publiczności, ani krytyki. Zgrupowała obok grafiki NRD również zachodniokrajową sztukę, lecz całość nie dawała przekroju rzeczywistej sytuacji w plastyce...

muja obecnie mniej rezygnacyjną a bardziej walczyką charakter. Obok drzeworytu Pankoka wskazuje się również na litografię Käthe Kollwitz z r. 1943 „Siewu nie waino mied”, Stary motyw Madonny z płaszczem — ochronieckim, doznaje tu ciekawej transpozycji...

Trzeba przyznać, że nowe książki reprezentatywnych pisarzy włoskich: Alberto Moravii i Vasco Pratolini wywołują się potwierdzać sąd Italo Calvino...



Otto Pankok: „Christus iamiący karabin”.

Choć militariści chcą na gwałt zamienić Berlin w „miasto frontowe”, nie przestaje on być żywym symbolem duchowej jedności nie tylko Niemiec lecz i całej Europy.

Theater i Schiller - Theater. Jeden teatr chronicznie podchwytuje pozycje repertuarowe drugiego. Langhoff zapytuje słuszenie. Czy jesteśmy aż tak artystycznie mocni, czy mamy aż tylu wybitnych inscenizatorów, reżyserów, scenografów...

W szkole niemieckiej „Troili i Kressydy” w Schiller - Theater reżyser Keller każe aktorom biec przez widownię z okrzykiem: „Nierząd! Zawsze tylko wojna i nierząd, nie ma mody na nic innego!” Ten teatralny chwyt poszerza rezonans sztuki, wyraża stosunek do współczesnego problemu.

Cocteau w Akademii Francuskiej



Wybór nowych członków do Akademii Francuskiej wywołał wiele zdziwienia. Wprawdzie przyjęcie Daniel - Ropsy w poczet „nieśmiertelnych” nie wywołało tak wielu sprzecznych opinii, gdyż od dawna wiadano, że znakomity eseista i historyk, autor olbrzymich dzieł z zakresu historii nauki i literatury, jak „Dzieje Chrystusa” i „Od Abrahama do Chrystusa”, autor kilku powieści o tematyce współczesnej znajduje się wreszcie pod kopułą Instytutu Francuskiego...

Był duszą awangardowej grupy Sześciu, przyjacielem Picassa, współpracownikiem wielu współczesnych artystów. André Maurois napisał o jego dziele: „Jakaż była linia, która biegnie poprzez wszystkie dokonania twórcze Cocteau i spaja je w jedną całość? Przede wszystkim jest to lek przed tym, co zwykły nazywać „lepkiem przyzwyczajeniem”.

powrotu do wszystkiego, co posiada wielowiekową tradycję, co jest narodowe. Cocteau oddał hold Akademii Francuskiej jako instytucji symbolizującej wielkość i stałość kultury francuskiej przez trzy wieki. Ten sam nagły powrót do kultu zdevaluowanego wydawałoby się pojęcia „Ojczyzny” objawił się nagle w przedśmiertnych publikacjach Claudela, co podkreślał w swoim pożegnaniu z wielkim poetą, Aragon. Nawet Maurice Barrès, nacjonalista z okresu pierwszej wojny, którego twórczość przepojona była, mimo wszystkich ob-



Daniel Emilforte, Tsila Chelton i J. M. Serreau w sztuce „Człowiek dla człowieka”, rys. Garcia.



W. Taranczewski: Malarstwo ścienne z kaplicy Najśw. Maryi Panny w Poznaniu.



Edouard Manet: Ubiczowanie.

OBRACHUNKI PLASTYCZNE

(Dokończenie ze str. 3)

nej, zupełnie nie odpowiadały wymaganiom monumentalnego, kościelnego wnętrza; były kameralne, były za bardzo intymne i indywidualne, aby zdobić kościół. Malarze niemieccy holdowali bardzo indywidualnej, prywatnej niemal misticzności, młodzi malarze francuscy byli zbyt liryczni. Ich pracom brakowało czytelności — nie były przystosowane do masowego odbioru we wnętrzu świątyni. Ten masowy odbiór wymaga od malarza pewnego wyrzeczenia się swojej indywidualności, ograniczenia właściwego sobie bogactwa wyrazu na rzecz daleko posuniętej czytelności z jednej strony — a dekoracyjności z drugiej. Obraz w kościele musi zarazem zdobić ścianę świątyni, jak i przemawiać do każdego z wiernych; ale nie ograniczać zasięgu swojego działania przez nadbyt akcentowaną subiektywność. Malarstwo kościelne operuje symbolami, symbole te muszą być dla wszystkich zrozumiałe, malarz musi wtłoczyć swoje uczucia w ich formę, wyrazić treść przy ich pomocy — stać się przez to bardziej obiektywnym, bardziej powszechnym w swoim oddziaływaniu.

To nieprzystosowanie charakteru wielu spośród współczesnych dzieł o tematyce religijnej z wymaganiami wnętrza kościelnego, ten brak zdolnych malarzy, którzy by mogli stworzyć prawdziwie współczesną dekorację kościelną doprowadził do odważnego i bardzo ciekawego eksperymentu — do kościoła w Assy. Kościół w Assy — dzięki inicjatywie zakonu Dominikanów — był zdobiony przez najwybitniejszych francuskich malarzy i rzeźbiarzy, z których większość po raz pierwszy zetknęła się ze sztuką religijną. Assy to przykład, to kościół, który ośmiela, który przekonuje o tym, że sztuka współczesna doskonale może służyć celom kościelnym.

TO że konieczne jest uwspółcześnienie sztuki religijnej, to rzecz zupełnie jasna i zrozumiała. Nie można kultywować form, które już przed kilkudziesięciu laty były przestarzałe. W jakim jednak stopniu współczesna plastyka nadaje się do tego celu i co ze współczesnej plastyki, jakie jej elementy można w kościele wykorzystywać.

Pod pojęciem „współczesne malarstwo” mieści się wiele kierunków i wiele indywidualnych osiągnięć poszczególnych malarzy. Patrząc na współczesność z bliska, bez perspektywy historycznej widzimy chaos i ogromną ilość zróżnicowanych, zwalczających się wzajemnie dążeń. Trudno jest nam od razu uchwycić pewne cechy wspólne, które dziś przeciętą z pewnością istnieją.

Cechą powszechną współczesnej plastyki jest ogromna indywidualizacja wypowiedzi formalnej, pewna nerwowość, pewna skrótowość, skłonność do syntezy, a przede wszystkim troska o warsztat malarski, jego barbarzyńskie niemal odświeżenie. Swoboda w operowaniu kolorem, umiejętność wydobycia barwą nastroju i wrażenia, oraz dekoracyjność, które cechują wielu francuskich malarzy — to elementy nadające się w dużym stopniu do zdobnictwa kościelnego. Najlepszym dowodem jest Assy z monumentalną mozaiką Legera i gobelmem Lurçata, albo kaplica Matisse'a w Vence, gdzie kolor spełnia tak istotną rolę. Nawet malarstwo abstrakcyjne, o czysto dekoracyjnych walorach może znaleźć w świątyni zastosowanie — olbrzymie fragmenty średniowiecznych witraży były abstrakcyjnymi kompozycjami, spełniając przy tym dla wnętrza ważną rolę.

Jeśli chodzi o nowoczesną architekturę, przeżyła już ona okres doktrynerskiej oszczędności środków wyrazu. Obserwując jej rozwój widać, że idzie ona po linii wzbogacenia plastyki, unikania monotoni i surowości pierwszych nowoczesnych budynków. Rozwój ten można by nazwać walką o bardziej ludzką architekturę, która wnosiłaby więcej ciepła i nie była wyłącznie produktem maszyny. Jest to tendencja powszechna obecnie na całym świecie.

Nowe kościoły, które zbudowano od czasów pierwszych Kościołów Perreta, oprócz zapoczątkowanych prób szerszej współpracy z plastyką, oprócz witraży, rzeźb i fresków, niejednokrotnie operują formą i materiałem w sposób mniej suchy i zdawkowy. Wnętra nie odstrasza swoją pustką, unikają początkowego, fabrycznego niemal charakteru. Architektura kościołów pozostaje poza tym dla architekta jedną z najbardziej ciekawych i wdzięcznych form wypowiedzi. Do dziś architektura kościołów jest na Zachodzie jedyną niemalże formą architektury monumentalnej, dającej szerokie możliwości wykazania swojej wiedzy i swojego talentu. Powstał cały szereg kościołów, które przy nowoczesnej architekturze, przy wykorzystaniu współczesnej techniki stanowią już bardzo poważne osiągnięcie w historii sztuki religijnej. W sumie, nowoczesna architektura jak najbardziej nadaje się do zastosowania na tym polu. Wnosi powagę i nastrój odmienny od tuzinkowych pseudo-gotyckich wnętrz, brzydkich, fałszywych i tanich. Zaprzeczając pompiertwu, jest szlachetna, posiada umiar, który jest synonimem kultury. Posiada, co więcej, ogromne możliwości rozwoju.

możliwości tworzenia nowych form, typowych dla naszej epoki. Wykorzystując nowe konstrukcje i materiały budowlane kontynuuje wielką tradycję architektury kościelnej, posługującą się w historii zawsze nowymi środkami wyrazu, które odsłaniają nowe możliwości.

A WIERNI, jak oni przyjmują nowoczesną architekturę i nowoczesne malarstwo religijne? Najczęściej nie przyjmują wcale, ponieważ nie mają ku temu okazji. Przykładów w dotychczas bardzo niewiele, może jedynie Szwajcaria jest w stanie poszczycić się większą ilością nowoczesnych kościołów. Ta znikoma ilość przykładów, a jeszcze bardziej znikoma ilość przykładów dobrych jest w pierwszym rzędzie przyczyną pewnej rezerwy jaką wierni mają dla współczesnej sztuki. Wychowani w atmosferze eklektycznych, pseudo-historycznych kościołów, których architektura i wnętrza bynajmniej nie mogły ukstałtować dobrego smaku, przyzwyczaili się utożsamiać nastrój kościoła z nastrojem tych XIV-wiecznych budynków. Działła tu bardzo niedobra a bardzo silnie wzniesiona tradycja przywiązania do złej, fałszywej sztuki. Przy tym silnym przyzwyczajeniu każdy obiekt, każdy obraz, który choć trochę odbiega od przyjętych kanonów, budzi niechęć, często staje się niezrozumiałym.

Brzydkie dekoracje, fabryczne figurki — to wszystko wierni nasy-

cają stanem własnego przeżycia. Najokropniejszy posąg staje się w ten sposób posągiem najdroższym. Z drugiej strony z nowoczesnym kościołem wiąże się od razu wizja pustej zimnej hali — wizja często odstrasza, a co gorsze często prawdziwa. Ten nowoczesny prymitywizm odstraszył bardzo wielu ludzi. Trzeba im pokazać przykłady inne, również współczesne, a nie również bardziej piękne.

Podobna trochę historia jest z malarstwem, z tym, że przykładów jest tu jeszcze mniej. Wychowanie — przyzwyczajenie ludzi do rzeczy nowych to rzecz nielatawa, ale zupełnie możliwa. Współczesny obraz religijny może posiadać tak urzekający urok, że zdoła od razu wywołać sympatie wiernych. Taka właśnie była historia z kościołem w Assy, o którym najmniej złego mówią jego parafianie. Piękny witraż Rouaulta, czy gobeln Lurçata — to przykłady tak rzetelnej i tak wielkiej sztuki, że zdobyły od razu przekonanie. Przyzwyczajenie się do nowego wnętrza to już tylko kwestia czasu.

Istnieją wprawdzie wnętrza współczesnych kościołów, które już przez swoje fałszywe założenia nie sprzyjają skupieniu wiernych, nie stwarzają należytej atmosfery. Są to przede wszystkim kościoły wczesne, o nagich ścianach, przeszklone ze wszystkich stron, za bardzo przezroczyste, za mało intymne. Przy zachowaniu jednak podstawo-

wych warunków należytego zaplanowania wnętrza ciągle stykanie się wiernych z obiektami nowoczesnej sztuki wytworzy równą więź uczuciową jak w wypadku tradycyjnych dewocjonalii. Architektura powinna umożliwić wiernym skupienie, malarstwo nie powinno szokować — te obie jednak cechy absolutnie nie kolidują z pojęciem współczesnej sztuki.

JAK wygląda ta sprawa u nas? Przy niewielkiej ilości nowoczesnych kościołów, olbrzymia ich większość to świątynie powstałe na wzór pierwszych kościołów Perreta. Są surowe i są prymitywne. Malarstwa w ogóle w nich nie ma. Przeważnie wiszą tylko Stacje Drogi Krzyżowej, często tradycyjnie brzydkie. Udział malarstwa ściennego i rzeźby istnieje w dość skromnym zresztą stopniu w kościołach budowanych na przełomie ubiegłego wieku, czy rzadziej w kościołach starszych. Jakże jest to malarstwo, jaka jest rzeźba? Sytuacja jest prawie tragiczna, a w każdym razie bardzo poważna. Przeciętny poziom współczesnych malowideł w kościołach jest bardzo niski. Malarz albo pokrywa ściany jakimś nieudolnym ornamentem, albo co gorsza maluje kompozycje

wolające o pomstę do nieba. Zwykle zajmują się tymi deklamacjami plastycy, podrzędni, często nawet ludzie mający z plastyką mało wspólnego — przedsiębiorcy amatorzy. Wykorzystują oni zarówno naiwność i brak smaku wiernych, jak i często obojętność na sprawy sztuki kapłana. Pospółtę cęgrnnej ilości zeszpeconych kościołów nieliczne tylko wyjątki jak kaplica NMP w Poznaniu, malowana przez Taranczewskiego, wykazują zarówno dobrze opanowane rzemiosło jak i prawdziwy artystyzm. Większość tych malowideł kościelnych nawiązuje do najgorszych XIX-wiecznych wzorów, tak jak bardzo często nowozosno- nie kościoły, które nieudolnie pragną uchodzić za stylowe. I w dziedzinie budownictwa kościelnego, i w dziedzinie malarstwa panuje chaos i plastyczna pałyntanka, co absolutnie nie wychodzi na korzyść ani sztuce, ani wiernym.

Jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy? W dużym stopniu zbyt niska ingerencja Rad Artystycznych przy poszczególnych Kurjach. Dalej — nieświadomość kapłana, który często nie potrafi ocenić plastyki kościelnej z artystycznego punktu widzenia. Istnienie grup czy poszczególnych artystów, którzy nie mają najniższych ku temu danych, zawodowo trudnią się zdobiciem kościołów zapewniając sobie monopol. Brak należytej selekcji — malarz czy grafik, który nie ma pojęcia o malarstwie ściennym maluje wielkie freski. Brak uświadczenia, brak akcji wychowawczej, jeśli chodzi o kulturę plastyczną. Na tym ostatnim polu istnieje niestety sytuacja wręcz przeciwna. Jak dziwnie się księżom, że pozwalają na zeszpeccenie kościoła malarską tandetą, skoro „Veritas” i „Ars Christiana” rozprowadzają dewocjonalia o równie niskim artystycznie poziomie. Z pewnością nie można iść po najłżejszej linii oporu i przyjmując z góry gatunek smaku odbiorcy, wiedząc co się największej liczbie wiernych podoba — nie starać się o stopniowe przyzwyczajanie ich do rzeczy lepszych, mających coś ze sztuką wspólnego. W chwili gdy nasze Państwo prowadzi wielką akcję upowszechnienia kultury, gdy organizuje ogniska plastyczne, subskrypcje grafiki, wystawy objazdowe, nie można przez rozprowadzanie najgorszych w gatunku obrazków — rzekomo wszystkim się podobających — prowadzić akcji plastycznej wprost przeciwnie.

Jerzy Olkiewicz

ROZWAŻANIA WIELKANOCNE

WIELKANOC 1955 roku. Tłumnie, bogato co roku odwie- dzamy Boże Groby, przygotowujemy i spożywamy nasze rodzinne „święcone”, cieszymy się radością naszych dzieci, sami wspomniemy długi szereg przeżytych przez nas Wielkanoc.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego to jednak nie tylko podniosła atmosfera rodzinna, to nie tylko jakiś świetlany dzień wytchnienia i odejścia na moment od szarej codzienności, ale to przede wszystkim bogata treść historyczna i ideaowa otwierająca nam perspektywę najbliższej i najpełniejszej realizacji naszych pragnień.

Zdobędziemy się na trud odczytania tej treści zawartej w wielkanocnym „Alleluja”, przeżyjemy ewangeliczną relację o cudzie Zmartwychwstania w całym realizmie prawdziwej, konkretnej, żywej i pełnej dramatycznego napięcia historii.

Ciało Chrystusa spoczywające w objęciach Matki Bolesnej, potem z pietyzmem złożone w grobie, to znak całkowitej ruiny, fiaska, katastrofy, która cięsem swym nie tylko złamała życie Mistrza i Pana, ale dostojnie zdmuchnęła, jak wicher płomyk świecy, wszelkie nadzieje oparte na uszechmocnej Je-

go dobroci, w lepszą przyszłość narodu żydowskiego, w mesjańską erę, która w pojęciu nawet Apostołów miała być erą światowego panowania Żydów. Miłość do osoby Chrystusa, która była owocem Jego przepowiedania popartego dowodami na boskie pochodzenie Jego i Jego nauki, entuzjastyczne związanie losu życia z Jego losem, coraz wyraźniej krystalizująca się wiara w obecność, bliskość Chrystusa jako Boga Wcielonego — to wszystko po dniach triumfu wydało się być złożone ze Zbawicielem do grobu. Kontrast triumfalnej przeszłości z ruiną, upadkiem, grobem nadziei w chwili bieżącej... i powrót do ciężkiej — cięższej niż grobowy kamień — rzeczywistości wzbogaconej w gorycz ogromnego zawodu, przyzwanej tym boleśniej w swej niezmienności, swej sile miążdzącej człowieka jakimś nieubłaganym fatalizmem niszczącym wszelkie nadzieje lepszego jutra i najlepsze porwy serca miłującego prawdziwe dobro i prawdziwą prawdę — oto realia historyczne i psychologiczne tych dwóch dni poprzedzających brzask dnia trzeciego.

Alleluja, „tych realiów” konkretnych, brzemiennych ludzką męką i ludzką tragedią należy także to oszalać, „reale” owego brza-

sku dnia trzeciego. A jednak ta nieusuwalna rzeczywistość kamienia grobowego usunęła! Z otwartym i pustym grobem otwarta nasza rzeczywistość. Zbawiciel zwycięski, cały w wymiarach tamtego i tego świata, stojący wśród uczniów, duchowy, a jednak cielesny, bliski, a jednak tak daleki, immanentny wszystkiemu co ludzkie, a zarazem transcendentny jako Bóg i jako Człowiek uwielbiony i należący do Ojczyzny i Domu Ojca — oto „reale” dnia trzeciego.

Przeżyjemy liturgię i treść Wielkanocy — tego dnia, „który stworzył Pan” jako rzeczywistość Boga Wcielonego uświęcającego rzeczywistość naszego dnia. Chrystus zmartwychwstały nie jest jedynie własnością ostopiatę i rozentuzjzmowanej grupki Apostołów. Nie tylko dla nich otworzył tamten świat, nie tylko dla nich odsunął kamień rzeczywistości wygnania i zamknięcia w ramach doczesnej i materialnej immanencji z jej całym chaosem namietności i powikłań. Czerdziesiąt dni obecność Zmartwychwstałego z grupką Apostołów to boski wysiłek ugruntowania ich wiary najwiśszym i rozstrzygającym cudem. Bez tego cudu, jak mówi św. Paweł, „daremma jest wiara wasza... nędz-

Zofia Trzebińska: Zmartwychwstanie



niej jesteśmy niż wszyscy ludzie”. (1 Kor. 15. 17—19). Cud ten to nie tylko największy argument autentycznie boskiego pochodzenia chrześcijaństwa, ale to przede wszystkim widziana materialnie, dotykana rzeczywistość tamtego świata w ramach tej rzeczywistości. Zmartwychwstanie Zbawiciela ukazało Apostołom niebo, nie stworzyło jednak nieba na ziemi. Bynajmniej. Został ukazany jedynie cel i sens rzeczywistości doczesnej, został wytyczony jedynie kierunek jej rozwoju i postępu. Osiągnięcie tego celu, takie przebudowanie rzeczywistości doczesnej, by stała się wstępem i stopniem do tamtej rzeczywistości — to dzieło zadane nam. Pragnąc tamtej rzeczywistości, musimy własnym, indywidualnym i społecznym wysiłkiem kształtować rzeczywistość doczesną w kierunku jak najdalejszego upodobnienia jej do tamtej rzeczywistości. Musimy zrozumieć paradoks świata i chrześcijaństwa żyjącego w świecie, że jedynie stałe doskonałenie świata w duchu prawdy i dobra, jedynie stały dynamizm w pokonywaniu tego wszystkiego, co narzuca nam materia i rzeczywistość naszej historycznej, niepowtarzalnej życiowej sytuacji, jedynie stały pęd ku lepszemu, sprawiedliwszym formom

współzycia ludzkiego, zbliża nas do lepszego, zarówno doczesnej jak i wiecznej przyszłości. Na nas wszystkie boskie pochodzenia chrześcijaństwa, ale to przede wszystkim widziana materialnie, dotykana rzeczywistość tamtego świata w ramach tej rzeczywistości. Zmartwychwstanie Zbawiciela ukazało Apostołom niebo, nie stworzyło jednak nieba na ziemi. Bynajmniej. Został ukazany jedynie cel i sens rzeczywistości doczesnej, został wytyczony jedynie kierunek jej rozwoju i postępu. Osiągnięcie tego celu, takie przebudowanie rzeczywistości doczesnej, by stała się wstępem i stopniem do tamtej rzeczywistości — to dzieło zadane nam. Pragnąc tamtej rzeczywistości, musimy własnym, indywidualnym i społecznym wysiłkiem kształtować rzeczywistość doczesną w kierunku jak najdalejszego upodobnienia jej do tamtej rzeczywistości. Musimy zrozumieć paradoks świata i chrześcijaństwa żyjącego w świecie, że jedynie stałe doskonałenie świata w duchu prawdy i dobra, jedynie stały dynamizm w pokonywaniu tego wszystkiego, co narzuca nam materia i rzeczywistość naszej historycznej, niepowtarzalnej życiowej sytuacji, jedynie stały pęd ku lepszemu, sprawiedliwszym formom

współzycia ludzkiego, zbliża nas do lepszego, zarówno doczesnej jak i wiecznej przyszłości. Na nas wszystkie boskie pochodzenia chrześcijaństwa, ale to przede wszystkim widziana materialnie, dotykana rzeczywistość tamtego świata w ramach tej rzeczywistości. Zmartwychwstanie Zbawiciela ukazało Apostołom niebo, nie stworzyło jednak nieba na ziemi. Bynajmniej. Został ukazany jedynie cel i sens rzeczywistości doczesnej, został wytyczony jedynie kierunek jej rozwoju i postępu. Osiągnięcie tego celu, takie przebudowanie rzeczywistości doczesnej, by stała się wstępem i stopniem do tamtej rzeczywistości — to dzieło zadane nam. Pragnąc tamtej rzeczywistości, musimy własnym, indywidualnym i społecznym wysiłkiem kształtować rzeczywistość doczesną w kierunku jak najdalejszego upodobnienia jej do tamtej rzeczywistości. Musimy zrozumieć paradoks świata i chrześcijaństwa żyjącego w świecie, że jedynie stałe doskonałenie świata w duchu prawdy i dobra, jedynie stały dynamizm w pokonywaniu tego wszystkiego, co narzuca nam materia i rzeczywistość naszej historycznej, niepowtarzalnej życiowej sytuacji, jedynie stały pęd ku lepszemu, sprawiedliwszym formom

W tym sensie Wielkanoc jest zawsze świętem aktualnym, zawsze brzemiennym w realne nadzieje na lepsze jutro, a Chrystus zmartwychwstały jest obecny naszym życiu, naszym sprawom, naszej epoce, nam ludziom, którzy przeszli przez szkołę wojny, którzy dziś walczą o nowy i lepszy świat, którzy w obawie przed powtórzeniem się jakiegokolwiek nowego powszechnego kataklizmu gotowi są uczynić wszystko, by zapewnić sobie i własnym dzieciom spokojny i pełny rozwój życia naprawdę ludzkiego.

Tylko za cenę naszego wkładu w dzieło przemiany rzeczywistości Wielkanoc będzie świętem triumfu nad wszystkim co stare. Jak trafnie wyraża to Kościół, upominając nas w Niedzielę Wielkanocną słowami św. Pawła: „Uprzątnijcie stary kwas, abyście się stali nowym zaczynem...” (1 Kor. 5, 7)

Tylko pod warunkiem zdecydowanego przyjęcia na siebie roli „nowego zaczynu” zrozumiemy całą treść „Alleluja”, powracającego tak często w reżenie w liturgii dzisiejszej i całego tygodnia następującego, tylko wtedy wybuch radości Kościoła nie będzie dla nas jedynie wspomnieniem naszych dziecięcych radości, jakimś humanitarnym umiłowaniem ludziom optymistemu jako koniecznego środka psychicznej terapii, ale stanie się naszą dojrzałą radością obfitującą w nadzieję realnej przemiany rzeczywistości i naszego losu oraz radością brzemienną poczuciem siły do jej podjęcia. Adam Paygert